płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 1—15 · I · 1986

1

Rys. Zdzisław Byczek

Do widzenia z uśmiechem

Rys. Zdzisław Byczek

Spocił się ze złości, bo nie znosi słońca.

Już niedaleko, na szczycie się zamienimy!

Nie mogłem się zdecydować, z której strony wyminąć drzewo!

• A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! •

NAJWIĘKSZĄ wyspą świata jest Grenlandia. Leży w północnej części Oceanu Atlantyckiego i jest posiadłością Danii. Jej obszar jest prawie siedem razy większy od obszaru Polski, a zamieszkuje ją niecałe 50 tys. ludzi: 40 tys. Eskimosów i 8 tys. Duńczyków. Miasta i osiedla położone są głównie na wybrzeżu, gdyż 80 procent obszaru wyspy zalega gruba warstwa lodu.

•

NAJWIĘKSZE jaszczurki na świecie — to warany. Żyją na wyspach Komodo i kilku innych wyspach Indonezji. Wielkością dorównują niemal krokodylom nilowym albo aligatorom. Osiągają 3 m długości, a waga ich dochodzi do 150 kg. Warany żywią się roślinami.

•

NAJWIĘKSZĄ liczbą ludności może poszczycić się Chińska Republika Ludowa. Przeprowadzony w 1982 r. spis ludności wykazał, że obszar ChRL zamieszkuje 1 miliard 75 milionów osób. Przypuszcza się, że od tego czasu przybyło jeszcze około 40 milionów Chińczyków.

NAJWIĘKSZYM jeziorem świata jest Morze Kaspijskie, nazwane tak ze względu na jego gigantyczne rozmiary. Powierzchnia jego wynosi 371 tys. km² (znacznie więcej niż obszar Polski). Jego głębokość dochodzi do 1025 m. Do Morza Kaspijskiego wpadają takie rzeki, jak: Wołga, Ural, Kura i Terek. Ze złóż pod dnem morza wydobywa się ropę naftową. Głównymi portami są: Astrachań, Baku i Krasnowodzk.

•

NAJWIĘKSZE zasolenie ma woda Morza Czerwonego, wynosi ono 49 promille, to znaczy, że w każdym kilogramie (litrze) wody morskiej jest 49 gramów soli. Woda innych mórz ma mniejsze zasolenie. Na przykład: woda w Oceanie Atlantyckim zawiera 37 promille soli, w Morzu Czarnym — 18, a w naszym Bałtyku tylko 8 promille soli.

•

NAJWIĘKSZYM miastem w Europie pod względem zajmowanej powierzchni jest Moskwa. Zajmuje obszar 878,7 km kwadratowych. Zamieszkuje ją prawie 8 mln osób.

Nasza okładka:

W noworocznym krajobrazie

NOWY ROK

Nowy Rok niech nam drogi otworzy
jak żeglarzom śmiałym wielkie morze.
Niech nas wita wstaniem słońca wysokim.
Więcej światła w oczach z Nowym Rokiem.
I ptakami niech nas Nowy Rok obdarzy.
Myślą szybką i skrzydłami marzeń.
Niech nam praca złoci nasze dłonie,
Nowy Roku — bądź jak żywy płomień.

Zbigniew Jerzyna

Rys. Zdzisław Byczek

X300666a

Nasza szkoła znajdowała się na przedmieściu i była otoczona rzędem wysokich topoli. Przy szkole biegła ruchliwa, przelotowa ulica, ale wystarczyło przejść nią kawałek, aby znaleźć się w zacisznym, sosnowym lasku, gdzie można było bawić się w tysiące różnych zabaw i gier. Pewnego słonecznego popołudnia ja, Wojtek i Michał wybraliśmy się do lasku na spacer. Wąską ścieżką doszliśmy do polany w głębi zagajnika, gdy nagle Wojtek zatrzymał się i wykrztusił zachrypniętym głosem:

— Pa... patrzcie! Tam...

Spojrzeliśmy we wskazanym kierunku i zdrętwieliśmy. Na środku polany stał płaski, srebrzysty pojazd na dziwnych, pałąkowatych nóżkach. Spojrzeliśmy na siebie w milczeniu. Po chwili Michał szepnął niepewnie:

— To chyba jest latający talerz? Widziałem taki kiedyś w kinie...

— Chyba... — przytaknął Wojtek. — Ale skąd się tutaj wziął?

— Może miał awarię i musiał wylądować? — zamyślił się głośno Michał. — Słyszałem, że kiedyś już coś takiego zdarzyło się i że przybysze z kosmosu szukają z nami kontaktu...

Jakby na potwierdzenie tych słów zza pojazdu wyszedł jasnowłosy chłopiec w naszym wieku. Był ubrany w znany nam z wielu ilustracji skafander kosmonauty z różnymi przyrządami osobistymi, ale głowę miał odsłoniętą. Rozejrzał się dookoła i nagle zauważył nas. Chcieliśmy uciec, ale nogi nie chciały uczestniczyć w naszym odwrocie, więc staliśmy jak sparaliżowani, oczekując ze strachem, co się stanie. Tymczasem chłopiec podszedł blisko nas, uśmiechnął się i pozdrowił nas gestem ręki. Mimowolnie zrobiliśmy to samo i wtedy usłyszeliśmy.

— English?

Wojtek, który uczył się angielskiego, wyjaśnił mi:

— On pyta, czy jesteśmy Anglikami...

Umilkł na chwilę, starał się przypomnieć sobie cokolwiek z lekcji, wreszcie wyszeptał tryumfalnie:

— Mam!... My jesteśmy Polish...

Słysząc tę odpowiedź, przybysz z kosmosu wziął do rąk urządzenie zawieszone na szyi i podobne do tranzystora. Przycisnął jakieś guziczki. Rozległ się cichy szum, potem śpiewny świst. Wreszcie wszystko ucichło i niespodziewanie usłyszeliśmy:

— Cześć, chłopaki! Jestem X300-666a...

Tak odezwał się do nas po polsku! Zaskoczeni tą niespodzianką, przedstawiliśmy się kolejno:

— Wojtek...

— Michał!

— Krzysztof.

A chłopiec zdjął rękawicę i uścisnął nam ręce swoją ciepłą dłonią. Poczuliśmy się pewniej. Gość z kosmosu wcale nie przypominał tajemniczych przybyszów z dalekich planet. Nie był ani niebieski, ani zielony i nie miał na głowie kolekcji różnych anten i lamp, jak na ilustracjach w niektórych fantastycznych książkach. Po prostu: wyglądał jak my i tylko skafander oraz stojący w pobliżu latający talerz przypominał nam, z kim mamy do czynienia. Tymczasem chłopiec powiedział:

— Mam chwilę czasu. Chcecie obejrzeć mój pojazd?

Też pytanie! Każdy by chciał! Tyle razy słyszeliśmy, że latające talerze to bujda, a tymczasem... A tymczasem srebrzysty statek kosmiczny kusił nas i przyciągał wzrok. Zanim jednak zgodziliśmy się na propozycję naszego rówieśnika, Wojtek zapytał:

— A... a jak się tutaj znalazłeś?

Chłopiec uśmiechnął się i odpowiedział:

— Pochodzę z dalekiej planety Lacrima Plena. Kilka tygodni temu, według waszego czasu, odbywał się szkolny wyścig na latających talerzach dookoła naszej planety. Brałem w nim udział. W pewnej chwili zepsuł mi się silnik napędowy i zacząłem opadać w dół przestrzeni kosmicznej. Poznałem z daleka waszą planetę — Ziemię, bo uczyliśmy się o niej na lekcjach kosmografii. Postanowiłem wylądować na waszym globie i usunąć awarię. Udało mi się i w tej chwili wszystko jest gotowe do powrotu na moją ojczystą Lacrima Plena. Drogą radiową powiadomiłem Pogotowie Astralne i ratownicy wylecą mi na spotkanie...

Umilkł na chwilę. Wtedy zapytałem:

— Dziwnie się nazywasz: X300-666a...

— Tak — powiedział nasz rozmówca. — Bo u nas nie ma imion i nazwisk, jak u was. Mieszkańcy planety Lacrima Plena mają symbole, na przykład „X", jak ja, i kolejne numery. Symbol oznacza miasto, a liczba — numer na liście mieszkańców. Dzieci mają takie same symbole i numery z dodatkiem liter. Najstarsze: literę „a", młodsze „b" i tak dalej...

— Aha! — kiwnął głową Michał. — A ty jesteś najstarszy?

— Tak. Mam jeszcze siostrę: X300-666b i brata: X300666c...

— Rozumiem! — pokiwał głową znowu Michał. — Ale mnie się wydaje, że chyba lepiej byłoby mieć na imię Elżbieta albo Jacek...

— Możliwe... — zgodził się X300-666a. — Ale co planeta, to obyczaj...

Byliśmy jeszcze ciekawi, jak żyją nasi rówieśnicy w jego ojczyźnie, więc zapytaliśmy:

— Mówiłeś, że macie szkoły. A jaki masz stopień z matematyki?

— Z matematyki? Zaraz... — zawahał się chłopiec i powiedział niechętnie. — Z matmy mam plusquamzeritum...

— Plusquamzeritum?! — wykrztusił zdziwiony Michał. — To dobry stopień?

— Gorszego nie ma... — powiedział przygnębiony X300666a. — A za kilka dni mamy klasówkę. Profesor Cybernensis na pewno mnie przypilnuje...

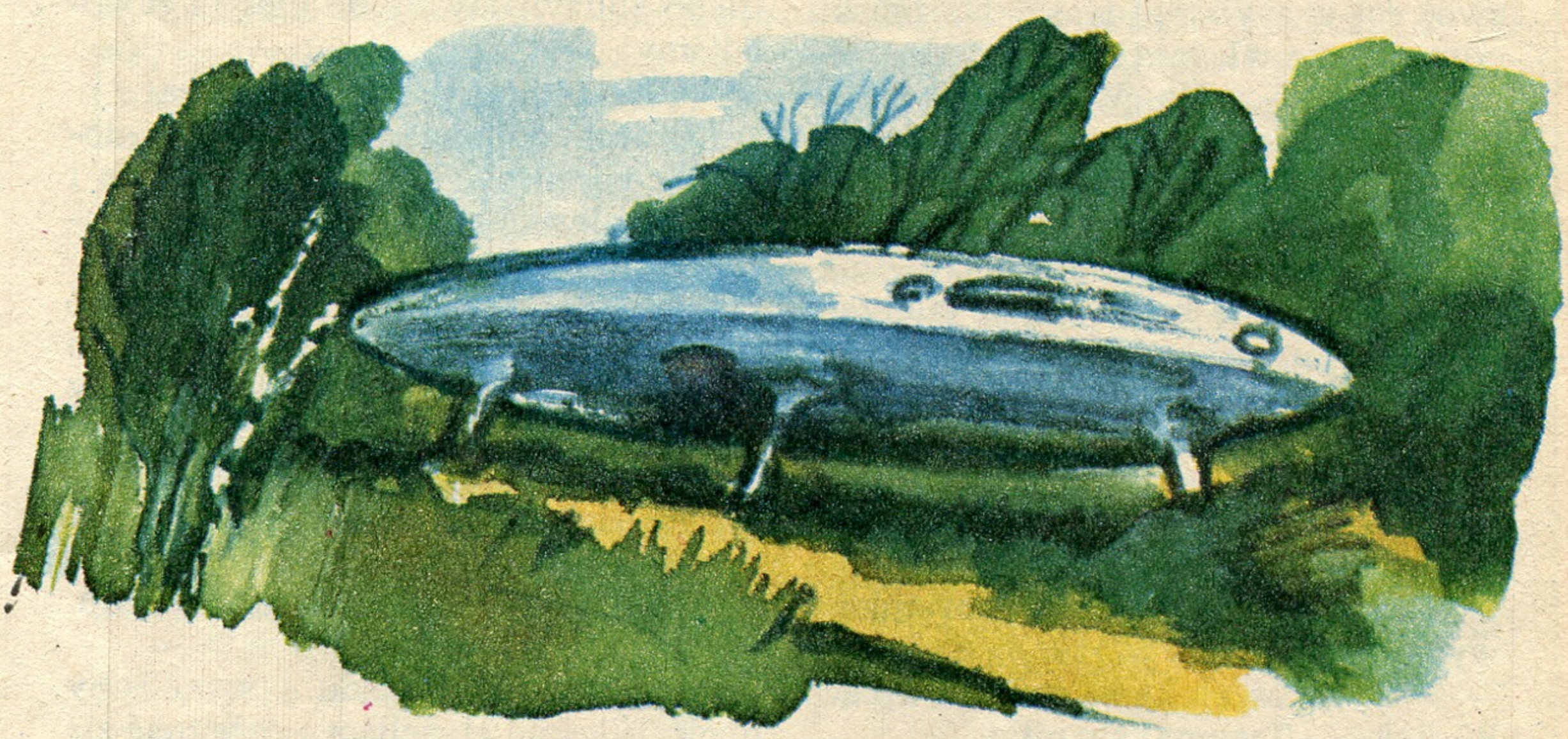

Spojrzeliśmy ze współczuciem na naszego rówieśnika z dalekiej planety. A więc i na Lacrima Plena uczniowie mają takie same kłopoty jak na Ziemi. To nas jeszcze bardziej zbliżyło do naszego rozmówcy... Zapytaliśmy o urządzenie, które nosił zawieszone na szyi.

— To jest lingwarium... — odpowiedział chłopiec. — Widzicie, tutaj są guziczki z różnymi literami oznaczającymi nazwy języków. Na przykład litera „P" oznacza: polski... Wystarczy nacisnąć odpowiedni guziczek lingwarium, aby rozumieć obcy język. A jeśli się rozumie, to mówić nie sztuka...

Wtem X300666a spojrzał na zegarek i zapytał:

— No, jak? Chcecie się przelecieć moim pojazdem?

W odpowiedzi szybko wdrapaliśmy się do latającego talerza. Nie zamknęliśmy za sobą górnego włazu, tylko wystawiliśmy na zewnątrz głowy, aby lepiej wszystko widzieć.

— Dokąd lecimy? — zapytał pilot.

Spojrzeliśmy na siebie i odpowiedzieliśmy:

— Nad szkolne boisko...

Poczuliśmy delikatne drżenie pojazdu i po chwili latający talerz prawie bezszelestnie uniósł się nad polanę i wziął kurs na naszą szkołę. Mieliśmy swój cel w wyborze trasy. Na boisku odbywał się właśnie mecz między naszą klasą Vb a Va. W naszej bramce grał Koszałek, zarazem kapitan drużyny. A właśnie wrogiej postawie Koszałka zawdzięczaliśmy, że nie wybrano nas do reprezentacji klasy... Zatrzymaliśmy się z latającym talerzem za topolami rosnącymi dookoła szkoły i udzieliliśmy X300666a odpowiednich wskazówek. Właśnie nasza reprezentacja nacierała na wrogą bramkę. Koszałek stał oparty o słupek bramki. Wtedy błyskawicznie zlecieliśmy pojazdem kosmicznym przed bramkę i wychyliliśmy się z włazu.

— Ty, Koszałek! — zawołał kpiąco Wojtek. — Trzymaj się piłki...

— On ma dziurawe ręce... — dodał Michał.

Koszałek spojrzał w górę, zatrząsł się ze strachu i zakrył twarz rękami. W jednej sekundzie ukryliśmy się znowu za topolami. Tymczasem jeden z napastników Va wpakował solidnego gola w naszą bramkę. A Koszałek drżał z przerażenia i nie odejmował rąk od twarzy. Sędzia, pan Rosiński, podbiegł do niego i o coś go zapytał. W odpowiedzi rozległ się przerażony okrzyk Koszałka:

— Talerz! Latający talerz! Widziałem latający talerz...

Na nic się nie zdały próby uspokojenia chłopca. Koszałek nadal wykrzykiwał: „Talerz! Tu był latający talerz!..." Po chwili zobaczyliśmy, jak ze szkoły wybiegła pani doktor i zabrała ze sobą naszego pognębionego wroga. Syci zemsty, ale przygnębieni stratą bramki przez rodzimą Vb, polecieliśmy nad ulicą w stronę naszego osiedla. Na nasz widok dorośli czmychali do domów, tylko małe dzieci pokazywały sobie nas rękami i wołały: „Talerz! Talerz!..."

Wkrótce byliśmy nad osiedlem. Już z daleka zobaczyliśmy dozorcę, pana Kuleszę, zamiatającego chodnik. Lubiliśmy go, więc postanowiliśmy się przedstawić w kosmicznym pojeździe. Cicho zbliżyliśmy się do niego i zawołaliśmy:

— Dzień dobry, panie Kulesza!

Dozorca odpowiedział: „Dzień dobry!", podniósł głowę, zobaczył nas i nagle znieruchomiał zaskoczony niezwykłym widokiem. A my polecieliśmy dalej zachowując w pamięci postać pana Kuleszy, który już doszedł do siebie i gniewnie potrząsał miotłą w naszym kierunku... Tymczasem my oblecieliśmy kilkakrotnie miasteczko, pokazaliśmy X300666a całą okolicę i wreszcie zniżyliśmy się nad parkiem. Po chwili wylądowaliśmy na trawniku. Nie było tu nikogo.

Wyszliśmy z pojazdu i stanęliśmy obok. Właśnie chcieliśmy pożegnać się

Rys. Wanda Orlińska

z chłopcem, kiedy zza zakrętu alejki wyszedł nasz wychowawca, pan Kwiatek, spojrzał na nas, na latający talerz i na naszego towarzysza w skafandrze i powiedział:

— A to wy? Przypominam wam o jutrzejszej klasówce z matematyki...

Poszedł dalej zupełnie nie zaskoczony widokiem latającego talerza i przybysza z Lacrima Plena. No, tak! Ale pan Kwiatek już wiele lat przepracował w szkole i nie dziwił się niczemu... Po chwili milczenia podaliśmy ręce kosmicznemu chłopcu i powiedzieliśmy:

— Do widzenia! Dziękujemy za przejażdżkę...

— Nie ma za co! — odpowiedział. — To ja dziękuję. Może się jeszcze zobaczymy.

— Może.

X300666a zwinnie wskoczył do pojazdu. Zatrzasnął właz i pomachał nam ręką przez oszklone, okrągłe okienko. Uśmiechnęliśmy się i również pozdrowiliśmy go na pożegnanie. Po chwili pojazd uniósł się w powietrze i szybko poszybował w stronę chmur. Patrzyliśmy z zadartymi głowami na malejący, srebrzysty dysk latającego talerza. Wreszcie zniknął nam z oczu. Postaliśmy jeszcze chwilę w milczeniu, potem Wojtek powiedział:

— Nigdy nie zapomnę tego dnia i naszego przyjaciela X300666a!

— I my też nigdy... — szepnęliśmy razem z Michałem.

Ryszard Przymus

WIELKI KONKURS POETYCKO-PLASTYCZNY

„WSZYSTKO, CO KOCHAMY”

Organizatorzy Konkursu: Polski Komitet Inicjatywny „Sztandar Pokoju”, Krajowy Komitet Dziecka, redakcja „Płomyczka” ogłaszają konkurs na

WIERSZ i RYSUNEK.

Celem konkursu „WSZYSTKO, CO KOCHAMY”, jest zdobycie wartościowych prac poetyckich i plastycznych na temat tak ważnych spraw, jak: dom — szkoła — przyjaźń — pokój.

Prace (wyraźnie podpisane imieniem i nazwiskiem, z dokładnie podanym adresem) należy nadsyłać do dnia 31 marca 1986 r. pod adresem redakcji „Płomyczka”, 00-950 Warszawa, ul. Spasowskiego 4.

Jury konkursu przyzna w obu działach (poezji i plastyki) wiele nagród i wyróżnień rzeczowych. Ponadto nagrodzone prace zostaną opublikowane w „Płomyczku”, a autorzy trzech pierwszych nagród (w obu działach) zostaną zaproszeni do udziału w przeglądzie twórczości dziecięcej w Szczecinie, w tzw. „Gryfiadzie”.

ZIMA

Spójrz na szybę:
mróz
wymalował kwiaty diamentowe
i perłowe.
Mróz strasznie bogaty!

Spójrz za okno:
wiatr
pędzi płatki śniegu
jak owce w szalonym biegu.

Spójrz, lód się skrzy
i szron.
Słońce patrzy nieśmiało,
patrzy strachliwie,
jakby się śniegu bało.

A wróble nastroszone
szukają ziarnek pod szronem.
Głodne są.
Zimno im.
Nie mają wesołych min.

Lecz my pomożemy wróbelkom,
oddamy przysługę im wielką.
Sypniemy chlebem, ziarnkami,
a później z sankami, nartami, łyżwami
będziemy świętowali
nadejście Zimy.

Anna Sulej (lat 12)

Rys. Zdzisław Byczek

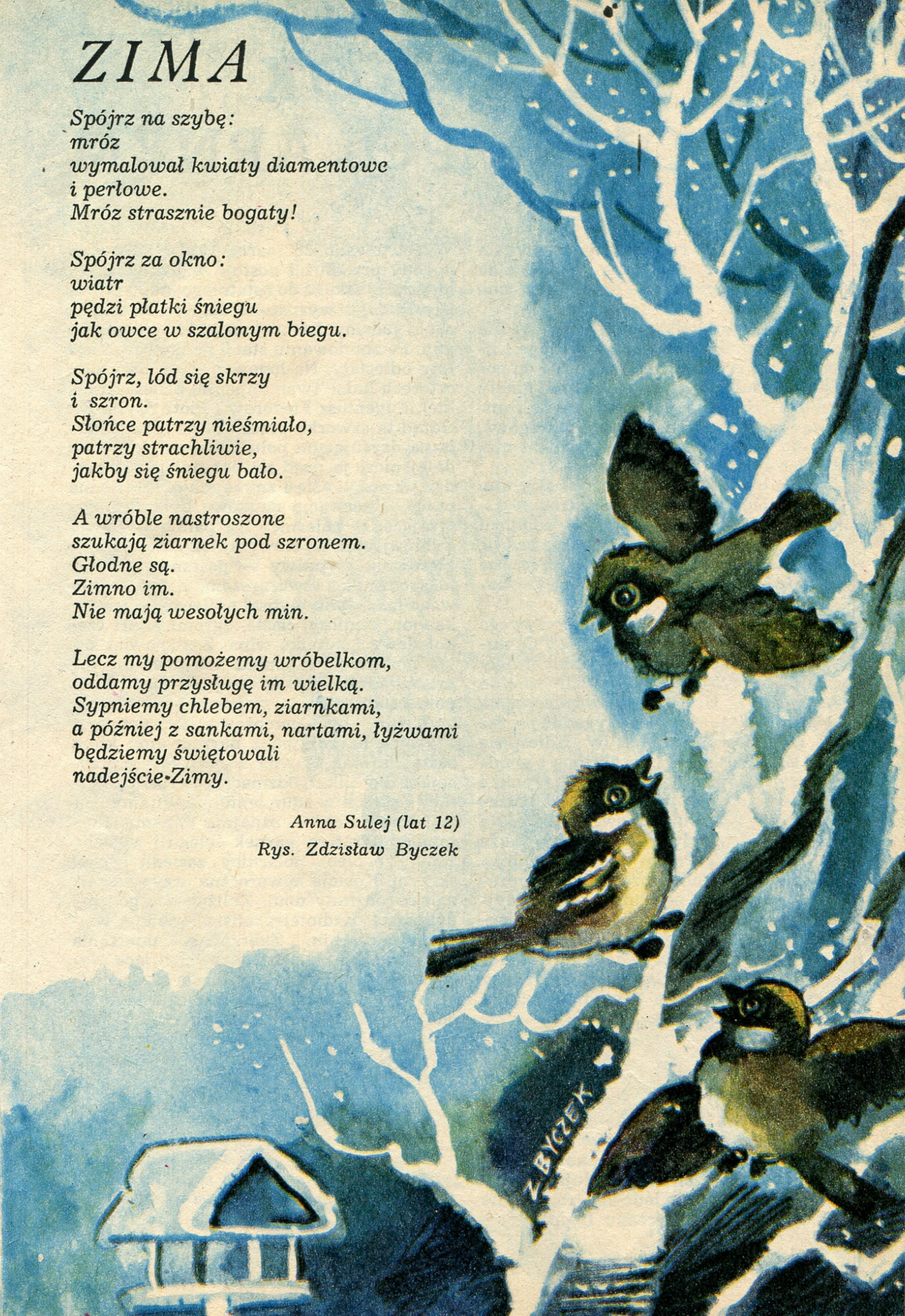

❀ NOWY ROK ❀
ZA KOŁEM POLARNYM

Pod koniec 1911 r. Antarktyda powitała dwie wyprawy: norweską — Roalda Amundsena, i angielską — Roberta Falcona Scotta.

Rozpoczął się wielki wyścig do bieguna południowego. Scott wyruszył w drogę 1 listopada 1911 r. Nie szczęściło mu się od początku. Zepsuły się sanie motorowe, ginęły kucyki mandżurskie przeznaczone do transportu, zaczęły słabnąć psy pociągowe. Marsz do bieguna stawał się pasmem niepowodzeń i olbrzymich trudności.

„Trzeba było wytężyć wszystkie siły, aby w ciągu całego dnia przebyć nędzne 10 kilometrów. Od bieguna jesteśmy oddaleni jeszcze o 120 kilometrów, a ja wciąż zadaję sobie pytanie, czy my damy radę przetrwać choć tydzień" — pisał Scott w swym pamiętniku.

W takiej sytuacji podczas uporczywego huraganu, przy temperaturze —35°C, mimo antarktycznego lata, nadszedł Nowy Rok. Polarnicy przygotowywali się do „uroczystości". Uczta była wspaniała, a najważniejsze, że od wielu tygodni po raz drugi najedli się do syta. W jadłospisie znalazł się „hoosh" — zupa złożona z pemikanu [1], sucharów, wątroby z foki, szynki i tłuszczu. Zupa była tak gęsta, że postawiona w niej łyżka nie przewracała się. Na deser każdy dostał łyżkę konfitur, a także gorącą czekoladę. Potem nastąpiła wielka niespodzianka. Jeden z uczestników wyprawy wyjął angielski pudding [2] — tradycyjną potrawę świąteczną, którą niósł pieczołowicie tyle kilometrów! Pudding poprawił całkowicie humory i przy rozmowie o rodzinach i celu wyprawy powitano Nowy Rok 1912 w najdalej na południe osiągniętym punkcie Ziemi.

*

W marcu 1937 r. wyruszyła z Moskwy wielka wyprawa lotnicza do bieguna północnego. Jej głównym zadaniem było pozostawienie na biegunie stacji naukowej i ekipy naukowców. Mieli oni, dryfując z prądem morskim na krze lodowej, zbadać nie znane dotąd obszary Oceanu Lodowatego. Wystartowano 26 marca 1937 r. Zły stan pogody przedłużał postoje w bazach przelotowych, tak, że do ostatniego etapu z Wyspy Rudolfa wyruszono dopiero 21 maja i około godziny dziewiętnastej osiągnięto biegun. Po zbudowaniu stacji naukowej samoloty odleciały. Na lodowym polu pozostało czterech ludzi: Iwan Papanin, Ernest Krankiel, Eugeniusz Fiedorow i Piotr Szyrszow. Odtąd ta czwórka przez 274 dni przebywała na dryfującym polu lodowym, które im dalej niósł je prąd na południe, tym bardziej kruszyło się i zmniejszało. Codzienna praca, obserwacje naukowe były tak wytężające, że polarnicy nie pamiętali nawet o zbliżającym się Nowym Roku. Papanin — kierownik wyprawy — postanowił zrobić niespodziankę towarzyszom. Z żywnościowego magazynu wybrał najlepsze potrawy: kawior, wędliny, ciasta, ogromny tort czekoladowy i butelkę wina. Zastanawiał się, jak pozbyć się z domku kolegów, aby nie przeszkadzali mu w przygotowaniach. Z pomocą przyszła zorza polarna — wszyscy wybiegli, by przeprowadzić pomiary. Wkrótce na skrzyni z narzędziami, która zastąpiła stół, zjawiła się serweta i przysmaki. Po kilku godzinach powrócili polarnicy i stanęli w zdumieniu. — Witamy dzisiaj Nowy Rok! — oznajmił Papanin. Roztopiono ogromny garnek śniegu i wyświeżeni i ogoleni polarnicy zasiedli wokół skrzyni. Kolacja noworoczna przypominała daleki rodzinny dom. Zbliżała się godzina dwunasta. Radiotelegrafista Krenkiel włączył odbiornik. Zabrzmiały uderzenia kremlowskich kurantów, zwiastujące Nowy Rok 1938. Potem rozpoczęła się specjalna audycja dla polarnej stacji na krze lodowej. Usłyszeli życzenia od rządu i narodu radzieckiego. Wreszcie nastąpił najbardziej oczekiwany moment — rozmowa z bliskimi.

Janina Datko

---

[1] *pemikan — sproszkowane mięso suszone*

[2] *pudding — angielska potrawa o konsystencji budyniu*

ŚNIEG

Czy słyszysz, jak pada śnieg?
— Tu jestem
— tu jestem
— tu jestem...

Gwiazdki szepcząc
wirują,
odmieniają świat,
osiwiają stary sad
...usypiają wiatr.

SZKIC DO WIERSZA ZIMOWEGO

Przestrzeń idealnie wybielona,
nieskończona,
zakrzywiona na czarnych gawronach.

— I jest już wiersz!
biały
— ballada zimowa.

U dołu białej strony
przecinki — gawrony,
i ani jednego słowa.

Maja Waszak

Rys. Zdzisław Byczek

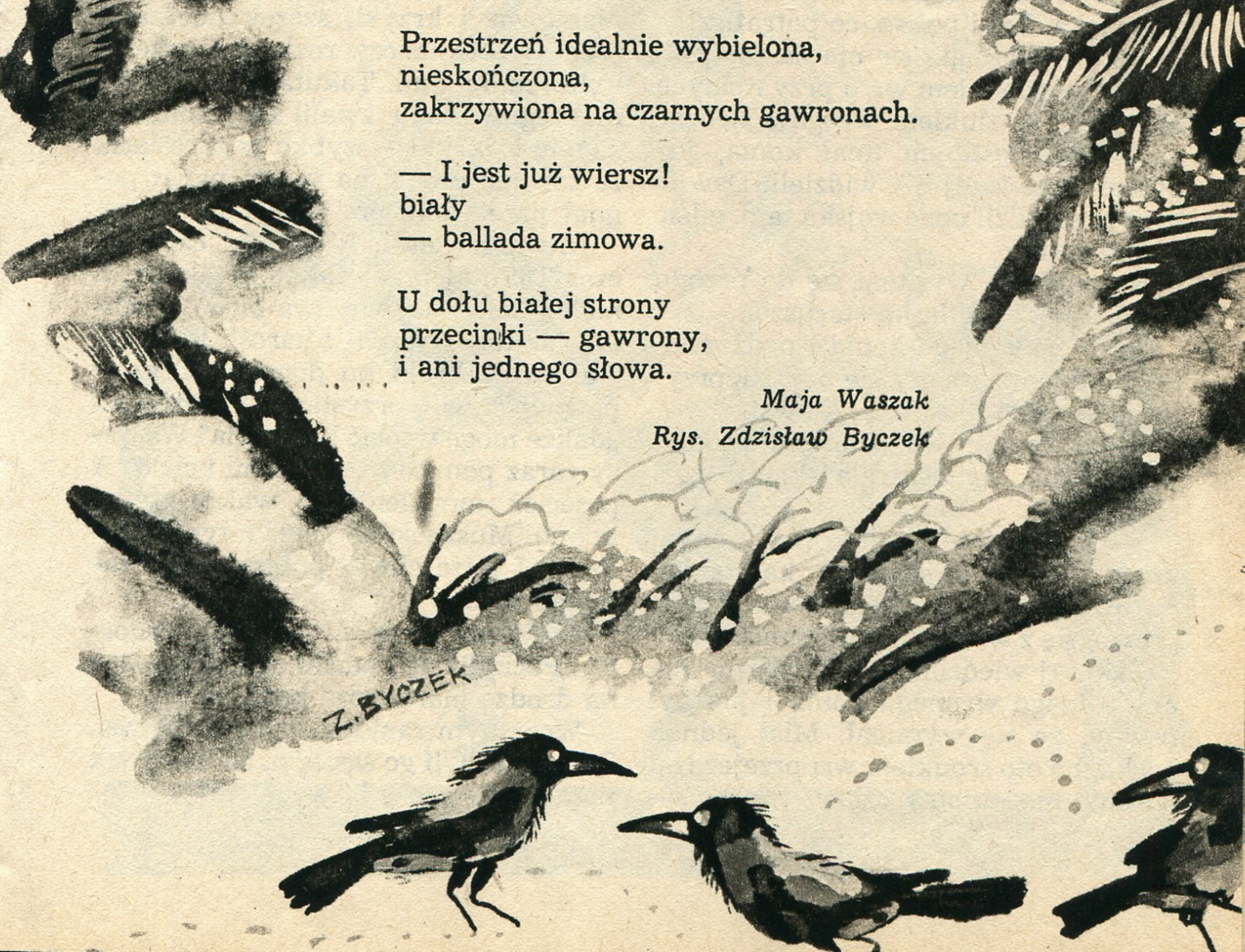

ŁGAŁ AŻ DO KOŃSKIEGO OGONA

(bajka japońska)

Pewien człowiek, którego powszechnie nazywano Takutaj, nie przegapił żadnej okazji, żeby nie pochwalić się swoim męstwem i nieustraszoną odwagą. Ludzie wierzyli mu i kiedy przechadzał się po wsi, pozdrawiali go z należną czcią.

Ale przyszedł niedobry czas, zaczęła się wojna. Wszyscy zdrowi mężczyźni opuścili wioskę, by stawić czoło napastnikom, jedynie Takutaj siadywał przed domem tak, jakby się nic nie stało. W końcu przyszli do niego sąsiedzi ze słowami:

— Nie ma nad ciebie dzielniejszego człowieka. Idź i pokaż, co potrafisz!

Takutaj przeląkł się nie na żarty.

— Opowiadałem wam przy różnych okazjach, że tłukłem wrogów siedząc na koniu. Jeślibym miał konia, już byście mnie tutaj nie widzieli. Dawno bym przepędził obce wojska tam, gdzie pieprz rośnie.

Na te słowa wysunął się do przodu podpierający się laską staruszek.

— Bierz mojego konia i pędź galopem tam, gdzie toczy się bój. Nieprzyjaciel jest już blisko naszej wsi!

Kiedy przyprowadzono mu osiodłanego konia, samochwała skłonił się i powiedział:

— Najdzielniej walczę na wronym koniu, a wy dajecie mi kasztanka. Sprowadźcie mi wronego konia, a rozprawię się z wrogiem natychmiast.

Takutaj wiedział, że we wsi nie ma ani jednego wronego konia i już był pewny, że się wymigał. Miał jednak pecha, bo oto środkiem wsi przejeżdżał właśnie nieznajomy człowiek na wronym koniu. Usłyszał ostatnie słowa Takutaja i bez chwili wahania zsiadł z konia i zaproponował:

— Słyszę, że jesteś sławny, że potrafisz pokonać każdego śmiałka, który stanie ci na drodze. Masz, bierz mojego konia! Chętnie posłucham o twoim zwycięstwie.

I tak Takutaj, chcąc nie chcąc, musiał dosiąść wronego konia i pospieszyć na pole walki.

Nie upłynęły nawet dwie godziny, gdy ujrzał całe zastępy wojowników. Na rozległym polu rozgrywała się wielka, zawzięta bitwa. Powietrze wypełniał gwar i krzyki, szczęk uderzających o siebie mieczy, rozległo się rżenie i chrapanie koni. Takutaj nie wytrzymał tego widoku, zwalił się z konia na ziemię i ukrył się szybko w zaroślach. A koń nie czekał na swego pana: pognał przez łąki, omijając pole bitwy.

Bitwa trwała cały dzień i cały ten czas Takutaj przeleżał w krzakach. Z nadejściem nocy wrzawa bitwy ucichła. Takutaj wyszedł z zarośli i skierował swoje kroki ku domowi. Lecz w pewnej chwili przystanął i pomyślał: „Jakże mogę wrócić bez konia? Wszyscy zaraz pomyślą, że koń mi uciekł. A przecież mówiłem, że walczę tylko konno. Muszę sobie jakoś z tym poradzić". I tejże chwili potknął się o zabitego konia.

— Właśnie tak — zawołał z radością. Pochylił się i odciął ogon leżącemu na drodze martwemu koniowi.

Wczesnym rankiem był już we wsi. Zaraz otoczyli go sąsiedzi, ciekawi, jak potoczyły się losy bitwy.

Takutaj zaczął łgać jak z nut:

— Biłem się za pięciu, co ja mówię za dziesięciu. Wrogowie walili się pod moimi ciosami jak snopy ryżu. Mój wrony koń nie nadążał ich tratować!

— A gdzie masz swojego wspaniałego wronego konia? — pytali z wypiekami na twarzy sąsiedzi.

— Kiedy ostatni raz wznosiłem miecz do góry, padł mój niezrównany koń i jeszcze przywalił swoim ciężarem zgrzytającego zębami wojownika. Nie mam już konia, został mi tylko po nim ten ogon, który przyniosłem ze sobą.

Tu Takutaj uniósł w górę srebrzysty, całkiem biały, koński ogon.

W tym momencie wyjrzało zza wzgórza słońce. Jego promienie padły na jaśniejące grube pasmo włosia z końskiego ogona.

— Hola! Jak to? — zawołali sąsiedzi. — Od kiedy to wrone konie machają białymi ogonami?

Na te okrzyki Takutaj nie znalazł odpowiedzi. Po prostu — zaniemówił.

Opracował Bolesław Zagała

Rys. Teresa Jaskierny

SPECJALNIE DLA „PŁOMYCZKA"

Z CZECHOSŁOWACJI

X BIENNALE ILUSTRACJI BRATYSŁAWA BIB'85

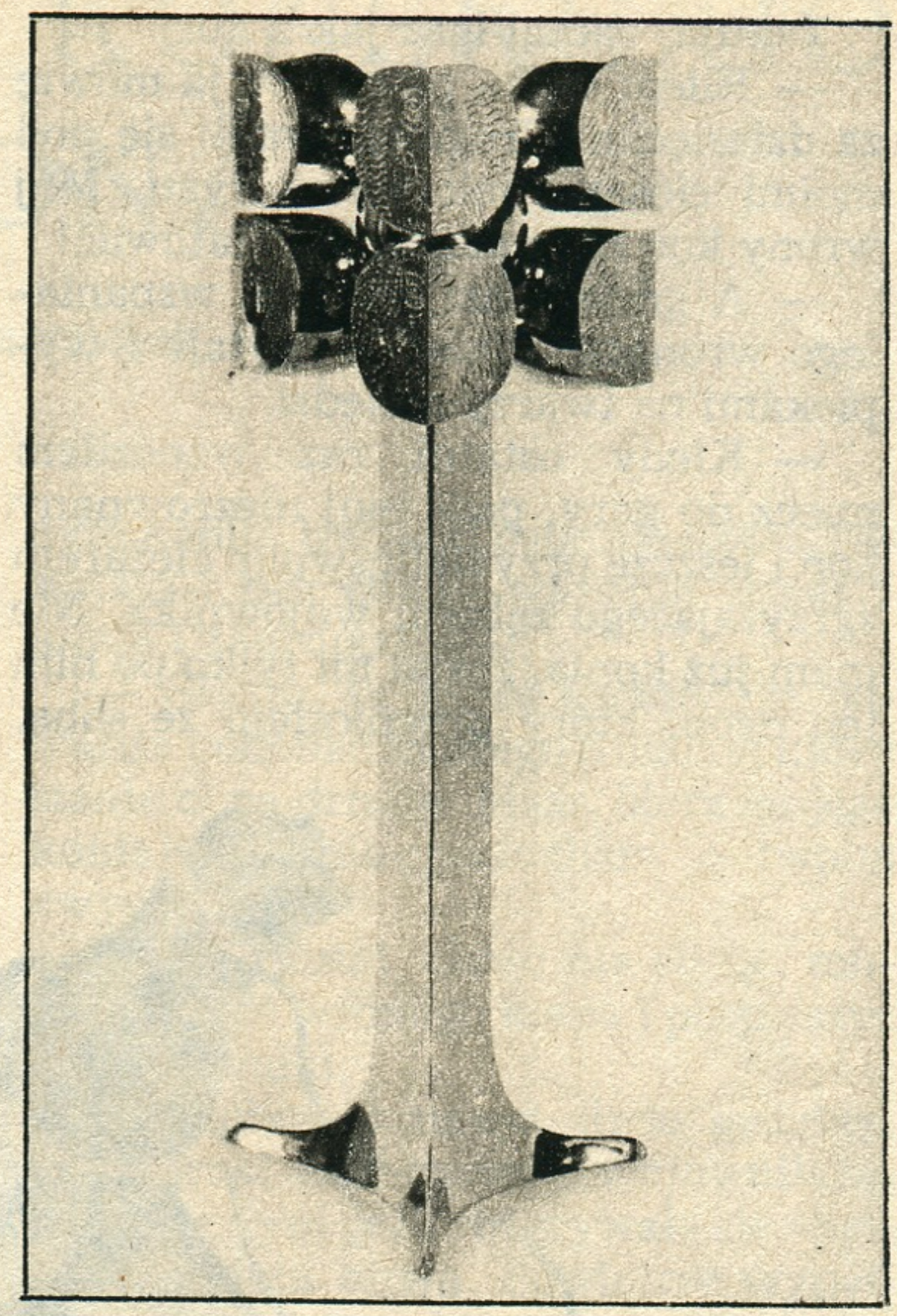

GRAND PRIX BIB '85 dla Clément Frédéric z Francji

W pobliżu granic trzech państw: Czechosłowacji, Austrii i Węgier, na skrzyżowaniu historycznych dróg łączących Bałtyk z Bałkanami, zachód Europy ze wschodem — nad Dunajem, w rejonie Małych Karpat, leży miasto Bratysława, stolica Słowacji. Jest to miasto, w którym zachowały się i są wciąż żywe — bohaterskie, narodowe i kulturalne tradycje Słowaków.

Jesienią 1985 r. w Bratysławie, już po raz dziesiąty, odbyło się Biennale * Ilustracji do książek dla dzieci. Uczestniczyło w wystawie 355 ilustratorów z 50 krajów, nadesłano 2500 oryginalnych ilustracji. W X Biennale brało udział 16 polskich ilustratorów. Międzynarodowe jury miało wiele kłopotu, aby z ogromnej liczby prac wybrać najlepsze. W wyniku obrad jedno ze Złotych Jabłek (a było ich pięć) potoczyło się do Polski. Otrzymała je znana

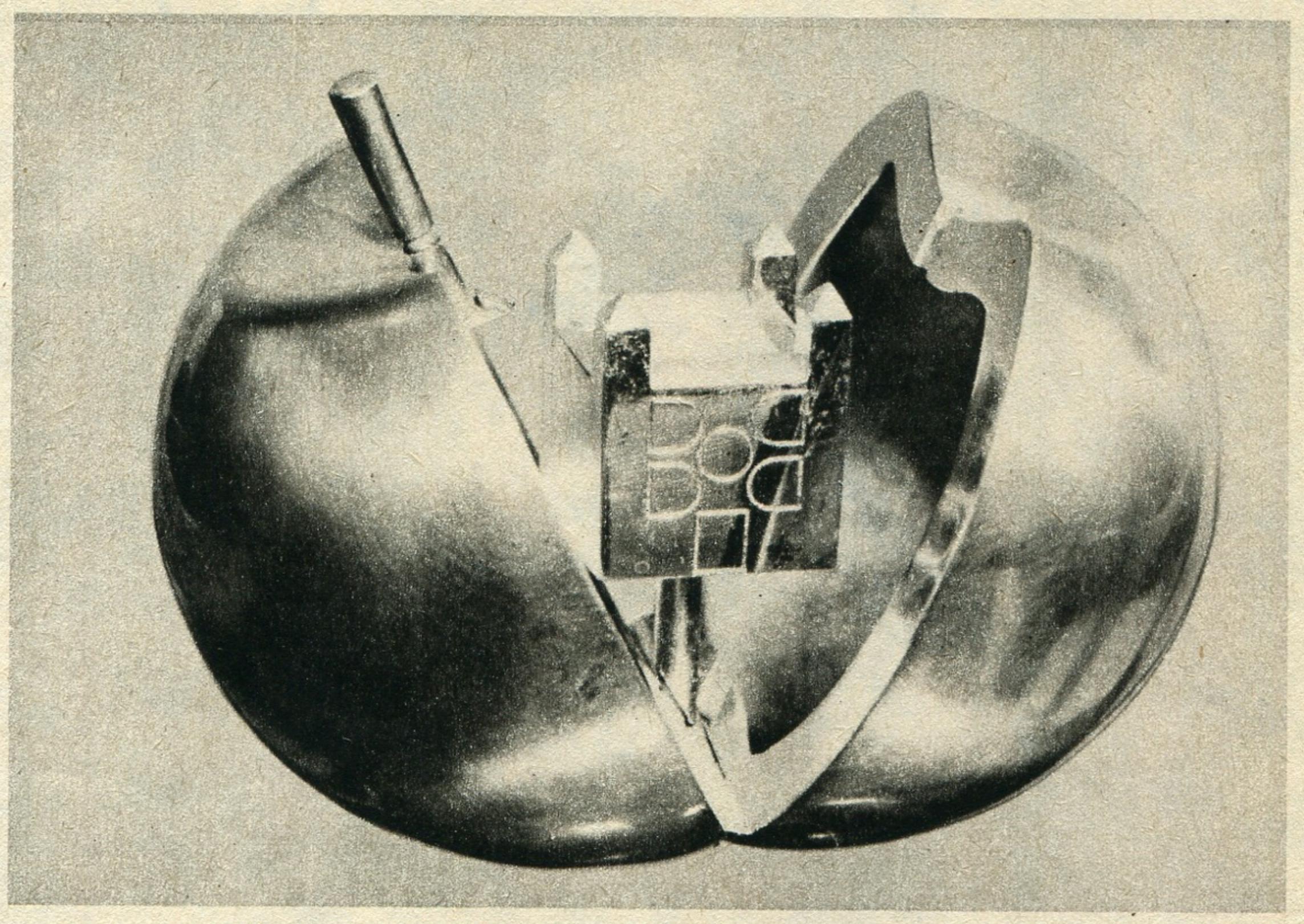

ZŁOTE JABŁKO BIB '85 dla Elżbiety Gaudasińskiej za ilustracje do książki Józefa Ignacego Kraszewskiego pt. „Dziad i baba", Nasza Księgarnia, Warszawa 1984.

Wam ilustratorka, p. Elżbieta Gaudasińska, za ilustracje do książki J. I. Kraszewskiego — „Dziad i baba".

Podczas trwania Biennale-85 odbyło się sympozjum, na którym wygłoszono wiele referatów. Wszystkie wypowiedzi przenikała wielka troska o to, aby za pomocą dostępnych środków zapewnić dzieciom spokojne dzieciństwo, uchronić je przed wojną i utrzymać pokój na świecie. Szereg wypowiedzi ilustrowanych było krótkimi, barwnymi filmami oraz dokumentami przedstawionymi przez Japończyków. Przypomnieli oni tragedię dzieci Hiroszimy. Prof. Irena Wojnar z Polski, wygłosiła referat na temat: „Sztuka ilustracji przeciw agresji i wojnie".

Zbigniew Rychlicki

Ilustracja do książki pt. „Dziad i baba"

* *Biennale jest to impreza (wystawa, festiwal) odbywająca się co dwa lata.*

ŚNIEG

Śnieg biały spadł i cisza
od śniegu tak puszysta...
jakbyś w poduszce przysiadł.

Na niebie gwiazda pękła,
a promień niczym ręką
śnieżną chmurę rozkołysał.

Z chmury sypią się gwiazdki,
tamtej... zimne odblaski.
Biel śniegu tak daleka?

Czekająca na sanie
i dzwoneczków wołanie,
dotknięcie ręki dziecka...

Tadeusz Mioduszewski

ZAMIEĆ

Ciemno, szaro i ponuro.
Znikły chaty, drzewa, pole.
Słońce skryło się w śnieżycy
jak za białym parasolem.

Zając w lesie łuli uszy.
Lis pogody czeka w norze.
A tu zamieć szumi z wiatrem
i wyszumieć się nie może.

Już przestała. Śnieg opada,
taki miękki, zimny, śliski.
Słońce śmieje się jak matka
do córeczki znad kołyski.

Włodzimierz Domeradzki

SAD, STYCZEŃ

Oto zimą jabłonie,
oto gil w pąsie tonie.
Gil ma jak pestka serduszko.
Gil — zimowe jabłuszko.

Na korę jabłonek głupiutkie zajączki
siekaczami nakładają ślubne obrączki.
Jest nieruchomo i cicho dokoła,
czasem tylko gawron jak marszałek coś zawoła.

A w nocy znów błękitne pokłony
sad bije pełen lęku
nocy zimowej, wielkiej, białej sowie,
co siada na księżyca sęku.

Jerzy Harasymowicz

Rys. Przemysław Woźniak

Tańczący Słoń

— Bartek — powiedziała Zulejka — mówię ci, wygłupiłam się jak nigdy... — Uniosła głowę i patrząc śmiało chłopcu w oczy, dokończyła: — Rzucam tę sprawę. Wolę bawić się w Indian.

— Coś ty, oszalałaś? — wymamrotał. Chciał jeszcze coś dodać, lecz pani inspektor tak go zaskoczyła, że chwilowo nie mógł zebrać myśli.

Stali na pomoście przystani. Było szaro, smętnie i zimno. Dziewczyna oparła się o poręcz pomostu. Zapatrzona w zamglony horyzont, milczała.

— Coś ty, Zula? — powtórzył stając przy niej. — Chcesz rzucać tę robotę teraz?... Teraz, kiedy odkryliśmy tajemnicze podziemie?

— To ty odkryłeś i możesz, jak masz ochotę, śledzić ich dalej. Mnie to już nie bawi.

— Nie łam się. Przy takiej robocie zawsze muszą być wpadki.

— Żebyś widział, jak wisiałam uwięziona w tym okienku, a on, z fajką w zębach, nabijał się ze mnie, to byś też zrozygnował.

— Nigdy! — powiedział porywczo i dodał po chwili: — Byłaś wspaniała! Nikt nie potrafiłby lepiej go zdemaskować.

— Jestem do bani! — krzyknęła i biegiem ruszyła przed siebie.

Bartek poszedł wolno, podciągając co chwila wlokące się po ziemi poły ojcowskiej peleryny. Deszcz siekł coraz zacieklej, bębnił po zesztywniałym brezencie. Na chodniku utworzyły się wielkie kałuże, a poboczem płynął mętny potok, unoszący bąble powietrza i śmieci. Z wolna Bartek poddawał się smętnemu nastrojowi. Może Zulejka ma słuszność. Może należy kichnąć na tych wszystkich podejrzanych osobników.

Zatopiony w rozważaniach, nie spostrzegł, że znalazł się przy „Jantarze". Hotel wyglądał równie smętnie, jak wszystko dokoła. Zniechęcony wywiadowca miał już zawrócić, gdy nagle krajobraz ożył. Od ulicy Kościuszki wtoczył się przed hotel wspaniały samochód, najnowszy model „Audi". Jego nikle i lakiery rozjaśniły szarzyznę dnia, a rozpryskujące kałuże potężne opony przerwały monotonną melodię siąpiącego deszczu. Luksusowy pojazd zatoczył półkole, zakołysał się lekko i zatrzymał przed wejściem. Jak gdyby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zjawił się portier z parasolem. Podbiegł truchcikiem i otworzył drzwi samochodu...

Bartek przyglądał się tej scenie z zapartym tchem. Spodziewał się, że za chwilę wysunie się z samochodu maharadża z Pendżabu albo przynajmniej książę Walii. Tymczasem... Chłopiec nie chciał uwierzyć własnym oczom. Pod pochylonym w jego stronę parasolem ukazał się... Krzywonos.

Bartek zagwizdał z wrażenia.

Pseudomagister tym razem był bardzo elegancko ubrany, miał na sobie garnitur z szarej flaneli, czarne mokasyny, i krawat wiśniowy w granatowe pasy.

Skąd nagle taka zmiana? — pomyślał Bartek, który zdążył już przedzierzgnąć się w sierżanta służby śledczej. Zanim jednak przyjrzał mu się dokładniej, Krzywonos wymknął się spod parasola i zniknął za połyskującą jak lustro szybą drzwi.

Sierżant ostrożnie zbliżył się do wozu. Przyjrzał się tablicom rejestracyjnym. Były zachodnioniemieckie. Zajrzał do środka.

— Pierwszorzędna robota — mruknął do siebie.

W tej samej chwili usłyszał nad sobą głos:

— Czego tu szukasz?

Błysnęły mu złote szamerunki uniformu portiera. Wzdrygnął się.

— A co, nawet podziwiać nie wolno?

— Zjeżdżaj w podskokach — rzucił stanowczo portier.

Bartek oddalił się na bezpieczną odległość.

— Nie wpuściłby mnie pan tylko do holu? — zapytał z uśmiechem.

— Nie masz tu czego szukać.

— A może pan wie, co to za facet, który przyjechał tym wozem?

— Nie wiem — odparł już łaskawiej.

— Czy to jego wóz? — podjął odważniej Bartek.

— Nie.

— A czyj?

— Jakiegoś Araba. Przyjechał do nas dziś rano.

— A pod którym numerem zamieszkał?

Portier marsząc brwi spojrzał podejrzliwie na chłopca.

— Zjeżdżaj stąd i nie zawracaj mi głowy.

W tym czasie na parking zajechał skromny „Fiat 125". Portier przestał interesować się chłopcem.

Bartek skorzystał z sytuacji, przemknął za jego plecami, dopadł drzwi i za chwilę znalazł się w hotelowym westybulu.

Było tu bardzo dostojnie, zagranicznie i piekielnie nudno. Rozejrzał się bacznie, szukając choćby śladu bytności Krzywonosa. Niestety, nigdzie go nie było.

Naraz pojaśniało mu w oczach. Przed kontuarem recepcji ujrzał znanego mu z plaży Araba. Stał z drugim, prawdopodobnie swoim ziomkiem, i gestykulując zaciekle, coś mu tłumaczył. Tamten stał odwrócony tyłem, więc Bartek nie mógł zobaczyć jego twarzy. Stwierdził jedynie, że miał smukłą sylwetkę, ładną postawę, a gesty spokojne i pełne godności. Był jakby przeciwieństwem rozgadanego, pulsującego życiem grubasa. Ten wykonał taki gest, jak gdyby chciał zaciśniętą pięścią skruszyć cały kontuar. Nieznajomy uspokoił go łagodnym ruchem ręki. Nagle odwrócił się. Bartek zobaczył jego twarz. Była pociągła, ciemna, pełna spokoju. Rysy regularne: wysokie, sklepione czoło, migdałowe oczy, nos prosty, wargi w miarę wydatne i inteligentny wyraz oczu.

— Książę pustyni, jak pragnę... — wyszeptał chłopiec. Tak wyobrażał sobie kiedyś jednego z Trzech Króli zmierzających do Betlejem.

Książę ledwo dostrzegalnym ruchem skinął na kogoś, kto siedział zagłębiony w fotelu. Ten uniósł się spokojnie.

— Krzywonos, jak babcię... — sierżant z trudem opanował okrzyk zdumienia. — On z nimi — myślał. Teraz dopiero zacznie

się prawdziwa międzynarodowa kołomyjka. To przecież idealna siatka wrogiego wywiadu. Ten z głową nubijskiego księcia to pewnie ich szef. A Krzywonos? Krzywonos — narzędzie, którym się tamci dwaj posługują.

Jak gdyby dla potwierdzenia tej myśli, Krzywonos spokojnym krokiem wyszedł z westybulu. Nie wsiadł jednak do samochodu, lecz nie zważając na deszcz ruszył w stronę bulwaru.

A, cwany — uśmiechnął się zjadliwie Bartek — nie chce się do nich przyznawać. Pewno idzie do Fajczarza... Będą... — Nie dokończył myśli, gdyż dwaj Arabowie skierowali się prosto do samochodu. Odprowadzani przez gnącego się w ukłonach portiera, wsiedli do wozu — książę za kierownicą, grubas na sąsiednie siedzenie, i wnet „Audi" potoczyło się wolno, bezszelestnie i znikło chłopcu za zroszonymi szybami hotelowych okien.

Bartek nie namyślał się wiele. Minął biegiem wracającego pod dach portiera, włączył najszybszy bieg i pomknął bulwarem wśród gnących się na wietrze topoli. Chwilę widać było jeszcze rubinowe światła limuzyny, wnet jednak wóz zgasił światła i potoczył się wolno. Chłopiec zatrzymał się zawiedziony.

— Ech! — westchnął smętnie — gdyby tak mój staruszek wyczarował mi latający talerz, to... — Ocknął się nagle, zobaczył bowiem wychodzącego z bocznej uliczki Krzywonosa. „Audi" zwolniło. Ktoś otworzył drzwi wozu, a Krzywonos nie zatrzymując się wskoczył do samochodu. Zatrzaśnięto drzwi i wóz ruszył z szybkością rakiety.

— No, bracie — powiedział Bartek szeptem do siebie — teraz dopiero zaczyna się prawdziwa robota. — Po chwili dodał w myśli:

— Tylko dokąd oni mogli pojechać?

Na to pytanie, niestety, nie znalazł odpowiedzi.

* * *

Obszedł wszystkie znane mu punkty, w których mógł spotkać tych osobników. Był więc na przystani, potem okrążył dom Fajczarza. Wracając zawadził o stary dom z wejściem do podziemi, nigdzie jednak nie znalazł ani śladu poszukiwanych.

— No, jasne — myślał wracając do „Goplany" — mając taki wóz, można zajechać na Księżyc.

Kiedy znalazł się na ulicy Kościuszki, wyczuł, że ktoś za nim się skrada. Zrobił więc dobrze mu znany manewr mylący: doszedłszy do pierwszej przecznicy, skręcił w nią, a po chwili zawrócił i spoza pnia drzewa zerknął w stronę, skąd przyszedł.

Najpierw go zamurowało, a potem roześmiał się głośno. Zobaczył bowiem Muminka w pełnym stroju indiańskim, z toporkiem w garści. Malec indiańskim krokiem na ugiętych nogach sunął jego tropem. Kiedy doszedł do drzewa, Bartek wyskoczył i złapał go za kark.

— Mam cię, Kle Kuguara! — zawołał.

Malec zamrugał bezrzęsymi powiekami.

— Nie jestem już Kłem Kuguara. Jestem Wielkim Czarownikiem szczepu Arapachów.

— Kto cię mianował?

— Wielki Wódz.

— Zulejka? To ona znowu bawi się w Indian?

— Jeszcze nie, ale kazała mi trenować.

Bartek pchnął go lekko.

— To trenuj.

Malec nie miał ochoty odejść. Łypnął figlarnie okrąglutkimi oczkami.

— Ty, Bartek, czy wiesz, że są dzisiaj moje...?

— Co twoje? Nie rozumiem.

Chłopiec przymknął oko.

— Dziś są moje urodziny.

— Wybacz, ale nie słyszałem o świętym Muminku.

— Ale ja tak zwyczajnie jestem Czesiek. Zresztą coś ci się pomyliło. Mówię, że dziś moje urodziny, a nie imieniny. Ale prezentów nie musisz przynosić.

Bartek uścisnął mu dłoń.

— To trzymaj się ku chwale...

— Walecznego szczepu Arapachów — dokończył Muminek i zapytał — przyjdziesz? Jak nie przyjdziesz, to nie powiem ci czegoś bardzo ważnego.

— To nie mów. — Bartek skinął mu na pożegnanie ręką.

Malec ruszył za nim.

— Może nie chcesz wiedzieć, kim jest ten pan z fajką, co przychodzi czasem do babci.

Bartek okręcił się na pięcie. Złapał chłopca za ramię.

— Kiedy był u babci?

— Jak nie przyjdziesz, to nie powiem.

— Przyjdę.

— Dzisiaj rano, jak wy z Zulejką wyszliście z domu.

— Słyszałeś, o czym rozmawiali?

— No, pewno... A co mi dasz, jak powiem ci, o czym?

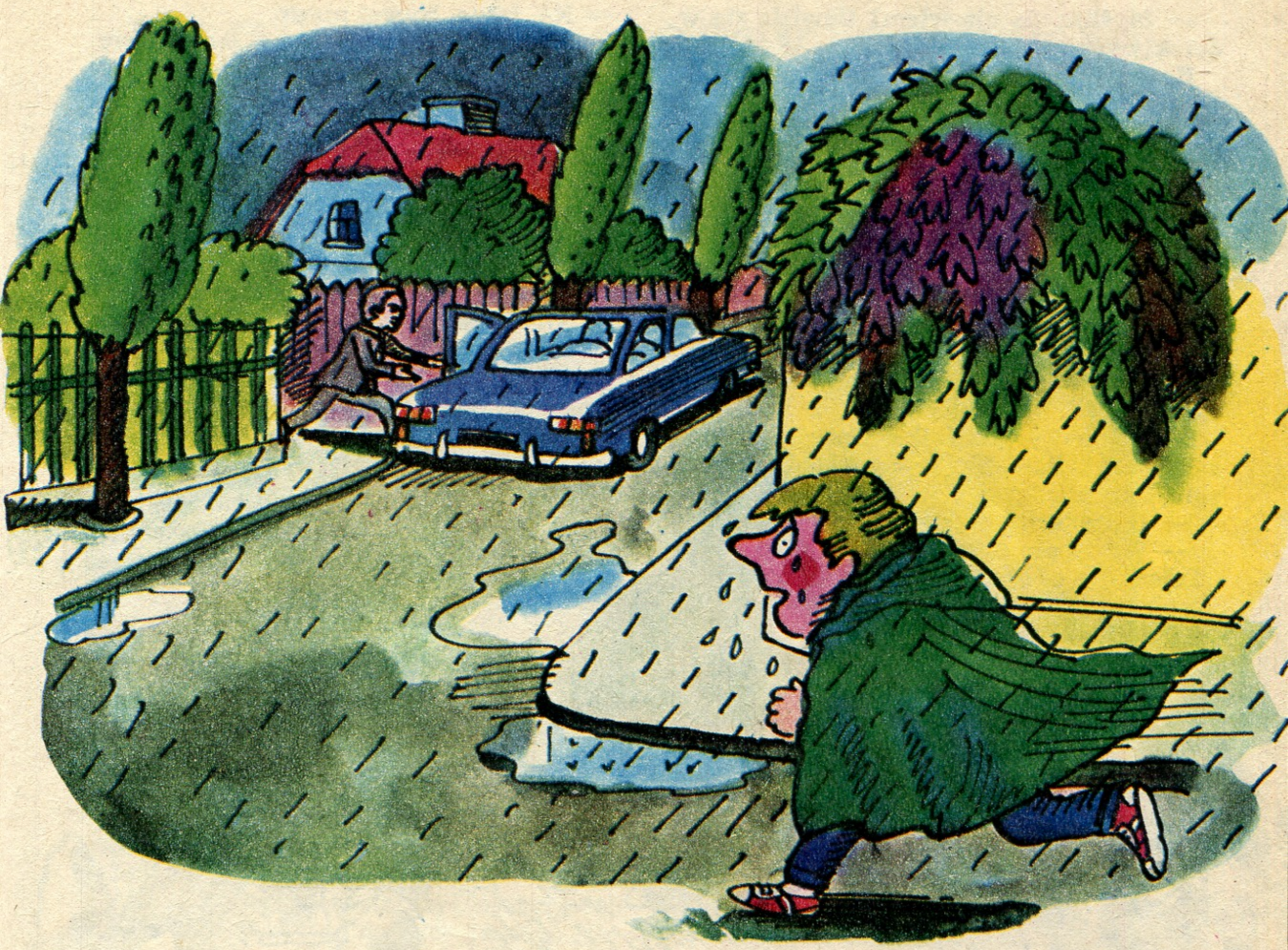

— Raz w ucho.

— To cześć! — Skrzyżował ręce na piersi i skłonił się po indiańsku.

— Zaczekaj. Co ja ci mogę dać?

— Słowo, że przyjdziesz na moje urodziny.

— Daję słowo.

— Rozmawiali o pogodzie i o łamaniu.

— O jakim znowu łamaniu?

— W kościach.

— Nie mówili nic o tańczącym słoniu?

— Raz mówili.

— Co?

— Że nie warto o tym mówić.

Bartek złapał malca za ramiona. Potrząsnął nim mocno.

— Muminek, jak będziesz się nabijał ze mnie, to ci uszy do pięt przyszyję.

— Mówię poważnie. Ten pan oddał babci sklejonego słonia, a babcia zapytała: „Ile jestem winna?" To on powiedział: „Proszę pani, szkoda o tym mówić". — Muminek walnął się pięścią w piersi. — Daję słowo.

— O, chytrusy! — wyszeptał Bartek. — Oni na pewno mówią szyfrem. Mają swój język. — Potem skinął na chłopca. — A o podziemnych bunkrach nie mówili?

— O bunkrach ani słowa, tylko o logice.

— O jakiej logice?

— Babcia powiedziała: „Gdzie w tym wszystkim logika?"

— I co dalej?

— Dalej to ja zapomniałem.

Bartek pokręcił głową.

— Ech, z tobą to rozpacz. Miałeś mi powiedzieć, kim on jest.

— No, właśnie.

— To mów.

— Najpierw przyrzeknij, że dasz wycisk Benkowi, a jego siostrę Mariolę pociągniesz za włosy.

Bartek cmoknął zniecierpliwiony.

— Widzisz, że mam inne sprawy.

— Myślisz, że nie wiem? Bawicie się w detektywów.

Bartek chwycił go za kołnierz, przyciągnął do siebie.

— Pamiętaj, o tym ani słowa. Bo to wcale nie zabawa.

Malec szarpnął się.

— Nie bądź dziecinny. Możesz na mnie liczyć.

— Daj grabę! — Bartek wyciągnął rękę.

Muminek uścisnął mu dłoń, przymknął lekko oczy i wyszeptał:

— On wcale nie jest mitologiem.

— Kto? Jakim mitologiem? Może ornitologiem?

— No, ten pan z fajką. On nie nazywa się Henryk Bart. Tylko Henryk Bartkowski... I pisze książki.

— O ptakach?

— Wcale nie o ptakach. Czytałeś może „Tajemnicę czarnej szkatułki”?

— No, jasne. Nawet niezłe.

— To właśnie on napisał. I bardzo się o was martwi.

Bartek uniósł dłoń do czoła.

— Zaczekaj... zaraz... To nawet klapuje. Znany pisarz wmieszany w aferę szpiegowską. Ale właściwie dlaczego się o nas martwi? Co mówił na ten temat?

— Powiedział... powiedział... o odpowiedzialności. Już wiem. Tak powiedział: „Nie mogę za nich brać odpowiedzialności”.

— To wspaniale — ucieszył się Bartek. — Teraz już wszystko jasne.

— Nie widzę nic jasnego — mruknął Muminek.

— Cześć! — pożegnał go Bartek i odszedł.

Adam Bahdaj
(Ciąg dalszy nastąpi)

Rys. Jerzy Flisak

NAJWIĘKSZE MOSTY ŚWIATA

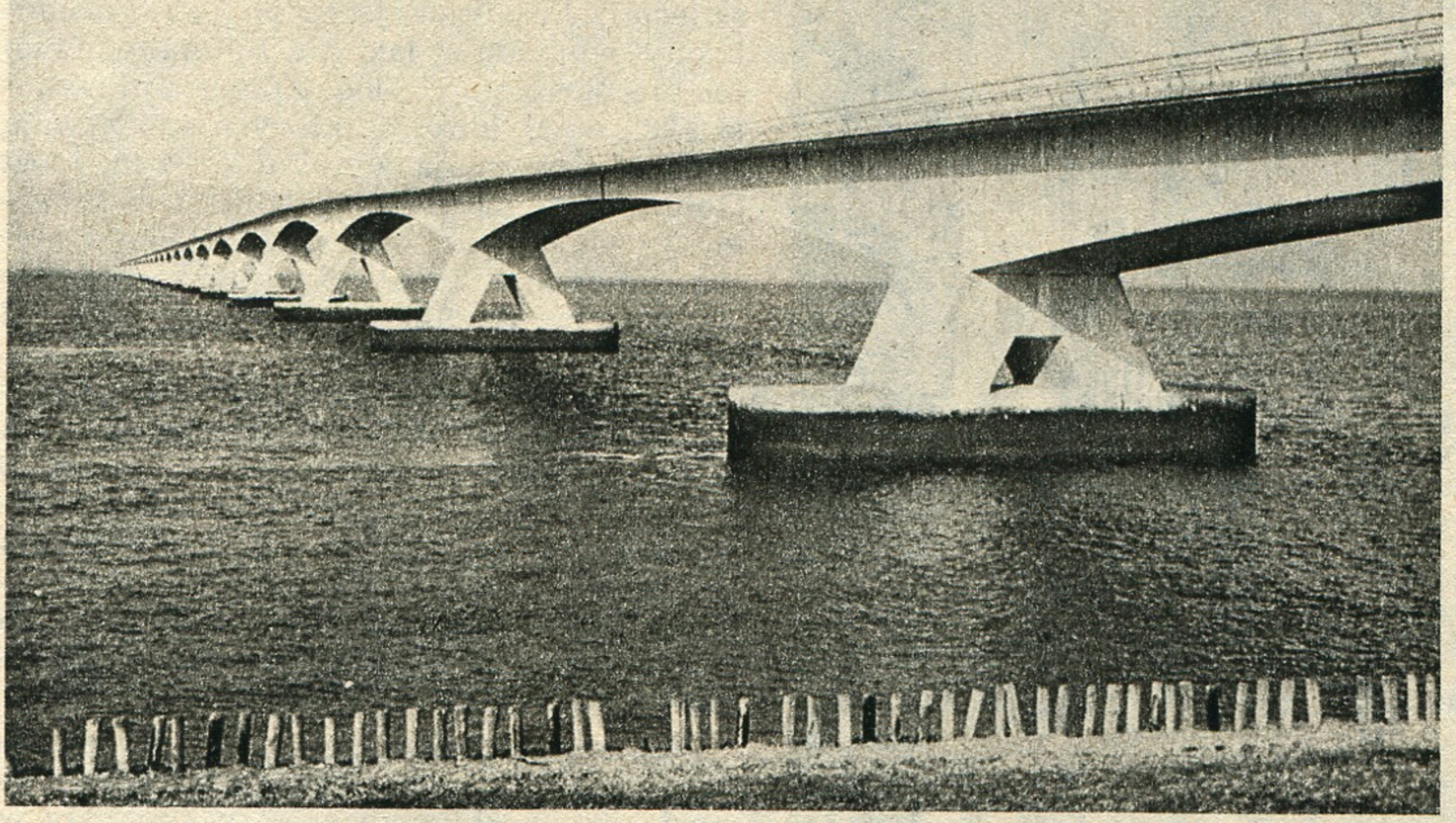

Most na rzece Skalda w Holandii

Mosty potrzebne są dla komunikacji tak samo jak dobre drogi, są ich ważną częścią składową.

Mosty znano już w starożytności, a wiele z nich przetrwało do naszych czasów. Niektóre, o dziwo, nie wymagają wcale napraw. Rzecz jasna, ich konstrukcja była zupełnie inna niż mostów współczesnych. Nie znano dawniej cementu czy doskonałej stali. Materiałem konstrukcyjnym był pierwotnie kamień, i on okazał się materiałem najdoskonalszym.

Chcę Wam opowiedzieć o niektórych mostach, największych na ziemi, spinających brzegi zatok, wielkich rzek, kanałów, o mostach łączących kontynenty. A jest ich wiele.

Właściwe kształty konstrukcji mostowych pojawiły się wówczas, kiedy zastosowano do ich konstrukcji żeliwo. Pierwszy most żeliwny zbudowano w 1799 roku. Most postawiony wówczas przetrwał do dnia dzisiejszego, służy w dalszym ciągu i to z wielkim powodzeniem. Zbudowano go w Anglii w miejscowości Coalbrokdale na rzece Severn.

Należy wspomnieć, że niemały udział w projektowaniu dobrych mostów mają Polacy. Znani są np. tacy budowniczowie mostów, jak inż. Ernest Malinowski, projektant wysokogórskiej kolei w Peru i wspaniałych wiaduktów, oraz inż. Stefan Bryła, którego most spawany na rzece Słudwi jest muzealnym zabytkiem.

Jednym z największych mostów świata jest most nad cieśniną Mackinac, pomiędzy jeziorami Huron i Michigan (USA). Most ten, łącznej długości 8 km, biegnie aż 6,4 km nad wodą. Część centralna mostu zawieszona jest na pylonach wysokości 168 m. Liny, na których most wisi, splecione są z drutu długości 68 480 km, wynosi to półtora raza obwodu naszej planety.

Kilka mostów na świecie urzekło mnie i zadziwiło. Jednym z nich jest most łączący kontynent europejski z azjatyckim. Most ten zbudowano w Turcji nad cieśniną Bosfor w 1974 roku. Sprawia wrażenie, że zawieszono go gdzieś w dalekiej przestrzeni. A przecież nie należy do największych na świecie. Jego znaczenie gospodarcze dla wielu krajów, nie tylko dla Turcji, jest duże. Nawet nasi polscy kierowcy, którzy prowadzą wielkie samochody z napisem TIR, przejeżdżają tędy Bosfor, aby udać się z ładunkami w kierunku Kuwejtu czy Syrii. Ten most im. Atatürka w Istambule ma 1074 m długości, a nad lustrem wody wznosi się na 64 m.

Dwa wspaniałe mosty oglądałem w San Francisco. Jeden z nich łączy miasta San Francisco i Oakland. Jego długość wynosi

Most wiszący (Grecja)

2800 m, a wysokość nad poziomem wody sięga 68 m, a więc jest wyższy od mostu w Istambule. Niedaleko w San Francisco jest drugi most, zw. Golden Gate, czyli Złote Wrota. Jest to największy most wiszący na świecie. Przejeżdżające po nim samochody wyglądają jak muchy na wielkiej ścianie. Rozpiętość między przęsłami wynosi 1280 m. Pylony, na których spoczywają potężne liny, mają wysokość 210 m. Most Golden Gate nazywany jest mostem śmierci. Nazwa ta pochodzi stąd, że wielu nieszczęśliwych ludzi skacząc przez jego niskie bariery, rzuciło się w odmęty zatoki i utonęło.

Imponujący jest most zbudowany na rzece Skaldzie w Holandii. Rzeka w tym miejscu jest bardzo szeroka, ma około 5 km. Przejazd przez ten most robi duże wrażenie, szczególnie wtedy, kiedy Skalda jest wzburzona, a wokół panuje mgła. Zjawiska te nie należą do rzadkości. Most na Skaldzie należy do najdłuższych w Europie.

Jest jeszcze jeden most, który budzi podziw dla myśli jego konstruktorów. Jest to most kratowo-łukowy w porcie Sydney w Australii. Długość jego wynosi 1150 m, a rozpiętość przęsła głównego około 503 m. Most ten wspiera się na bardzo silnych podporach żelbetowych.

Jest wiele innych ciekawych mostów, które fotografowałem. Jeszcze kiedyś Wam o nich napiszę.

Tekst i fot.: Bronisław Dostatni

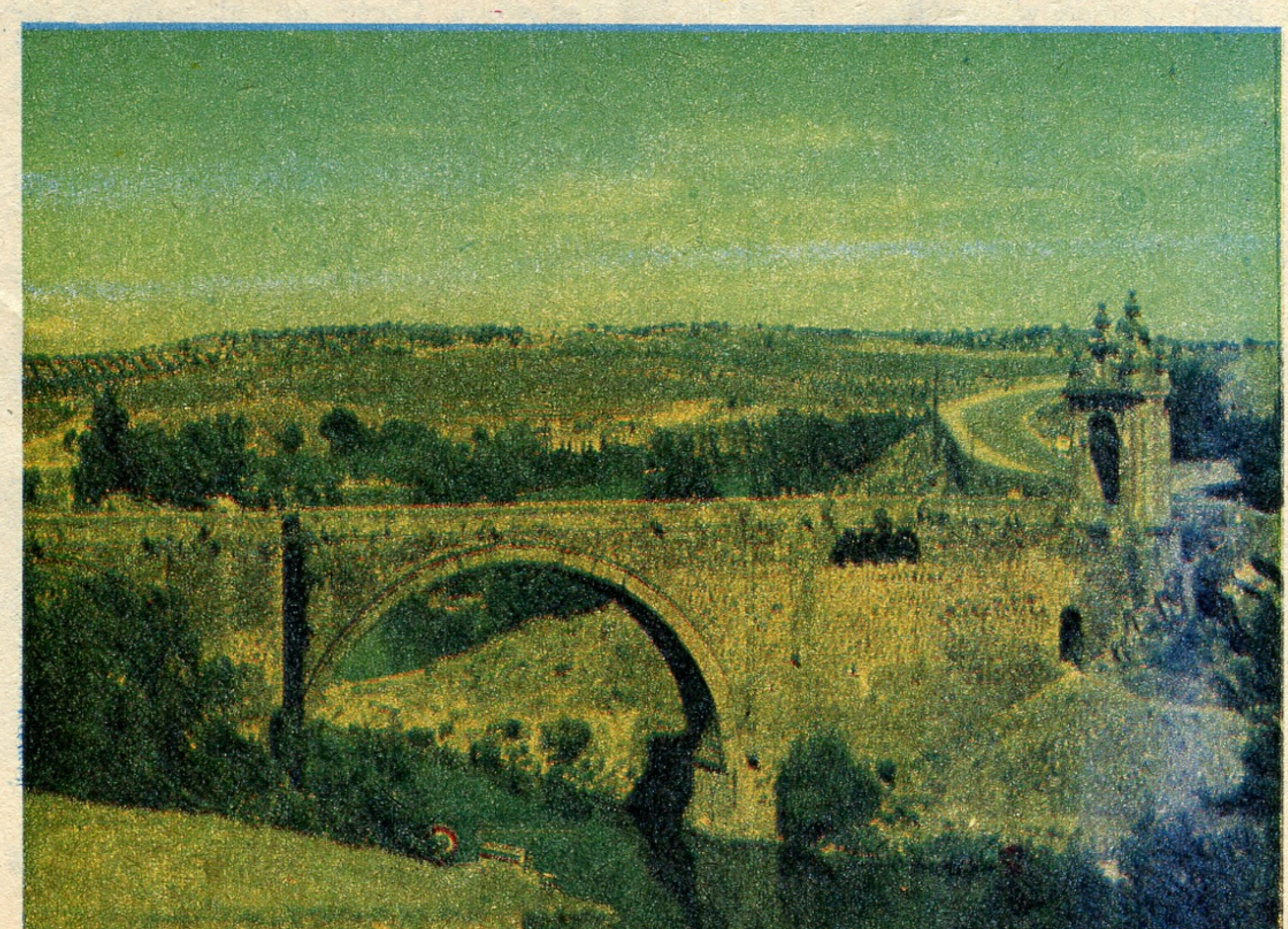

Stary most rzymski pod Toledo (Hiszpania)

Most w San Francisco (USA)

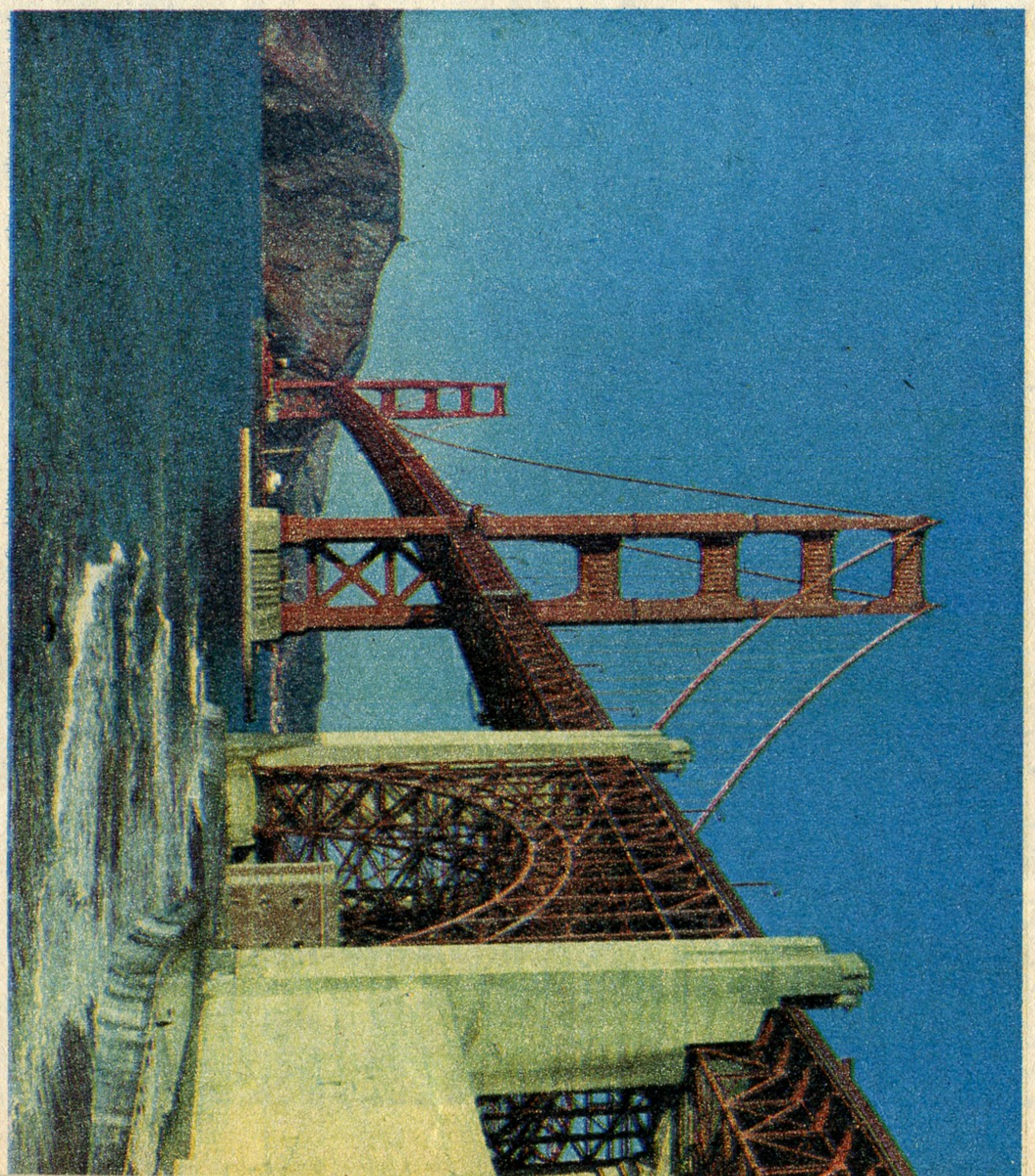

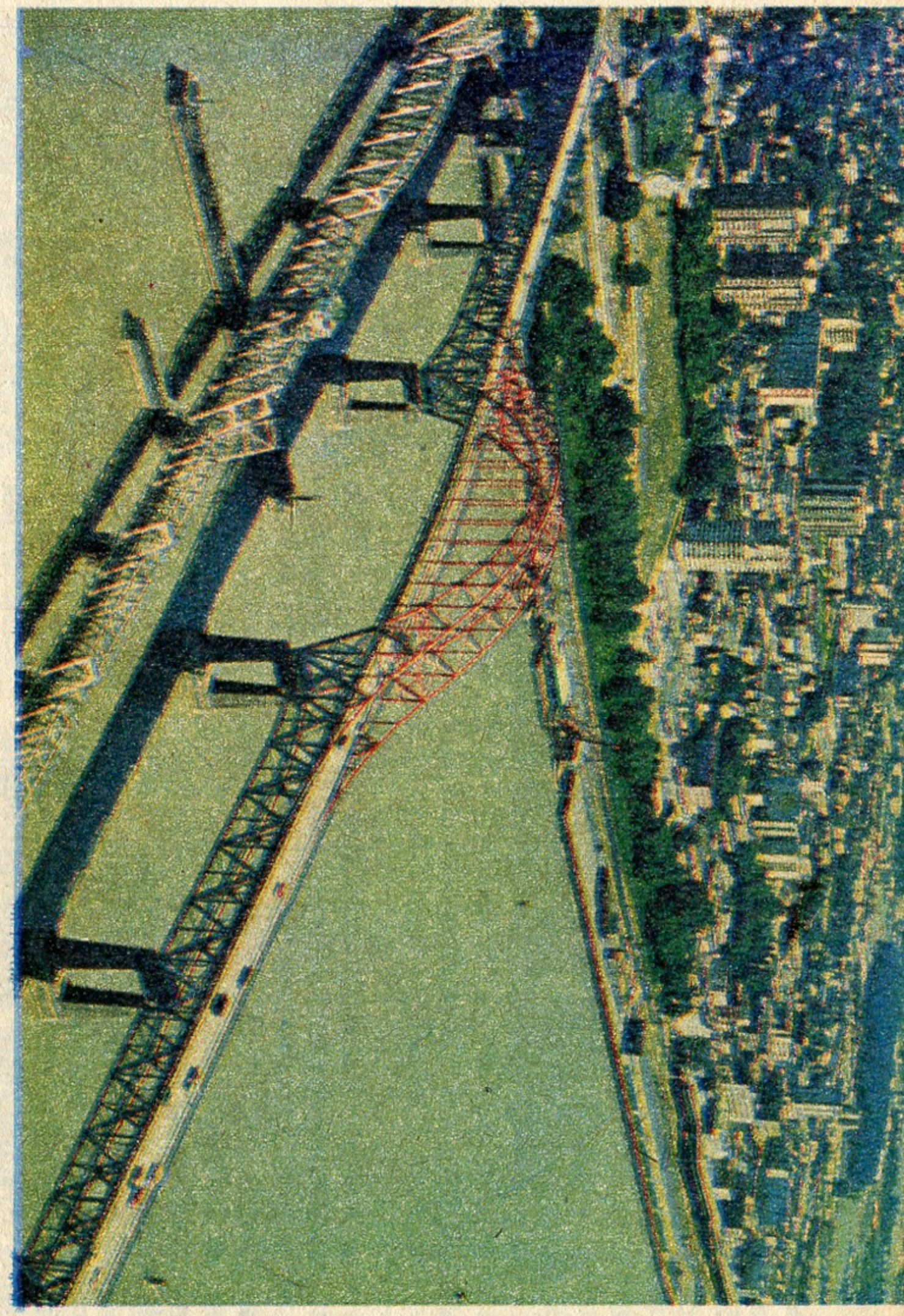

Nowoczesny most w Vancouver (Kanada)

O LUDZIACH I ZWIERZĘTACH

Stale stykamy się ze zwierzętami. One żyją wśród nas: w domach, obejściach, parkach, ogrodach, lasach i wodach. Jedne są dzikie i swobodne, inne — pospolite, domowe, do których tak przywykliśmy, że nikt nie zwraca już na nie uwagi. Te ostatnie służą nam w rozmaity sposób: dostarczają mięsa, mleka, jajek, wełny, strzegą naszych domostw, niszczą szkodniki, wreszcie obdarzają przyjaźnią i zaufaniem. Powinniśmy być im za to wdzięczni i odpłacać przyjaźnią i opieką. Jest to po prostu nasz OBOWIĄZEK. Ale czy rzeczywiście wywiązujemy się z niego?

Jakże często widać u nas wałęsające się bezpańskie psy i koty, włóczące się w poszukiwaniu strawy i kogoś, kto by się nimi zajął. Ileż ich jest, tych nie chcianych, nie kochanych zwierząt, których los tak niewielu obchodzi i wzrusza. Dobrze, jeśli jeszcze nikt się nad nimi nie znęca. A przecież wiele z tych nieszczęśników miało kiedyś domy. Lecz, niestety, często się zdarza, że właściciele wyrzucają swojego podopiecznego, gdy się znudził lub gdy okazało się, że obecność zwierzęcia w domu to nie tylko przyjemność, ale również obowiązek.

Jakże częsty jest widok kundla miotającego się na zbyt krótkim łańcuchu wokół rozpadającej się budy. Najczęściej biedak karmiony jest nieregularnie i dostaje najgorszy rodzaj pożywienia. A o wodzie do picia czy o stworzeniu mu choćby minimalnych wygód nikt nie pomyśli. Bo i po co? Podwórkowy kundel mleka nie daje, jaj nie znosi, sierść jego na wełnę się nie nadaje, więc po co o niego dbać? Zaś fakt, że strzeże obejścia i gotów bronić dobytku właściciela, któremu „poprzysiągł wierność", umyka jakoś powszechnej uwadze.

Niewiele lepszy jest los bezpańskich kotów, licznie zamieszkujących piwnice i przemykających się lękliwie od domu do domu. Bardzo często spotkać się można z przypadkami okrucieństwa wobec nich. A przecież dzięki tym kotom myszy i szczury nie rozpleniają się w znaczny sposób.

Chcę Wam opowiedzieć, jak opieka nad zwierzętami wygląda w krajach skandynawskich, Szwecji i Norwegii.

Otóż nie widuje się tam bezpańskich, zaniedbanych, nieszczęsnych, włóczących się psów i kotów. Przynajmniej ani ja, ani moi przyjaciele z Norwegii niczego podobnego nie zauważyli. Dzieje się tak dlatego, że Norwegowie i Szwedzi z pełną odpowiedzialnością traktują swoje obowiązki właścicieli wobec zwierząt. Mowy nie ma, by raz wzięte zwierzę zostało wyrzucone, choćby okazało się, że opieka nad nim jest kłopotliwa lub gdy czworonożny domownik przestał być interesujący niczym nowa zabawka. Pies czy kot zostaje przyjęty do domu na całe swoje życie. Jest dobrze karmiony, otaczany serdecznością, a w razie choroby troskliwie leczony. Dzieje się tak zarówno w miastach, jak i na wsi. Sama byłam świadkiem, jak pewien rolnik jednego dnia wzywał lekarza weterynarii do swoich chorych świń, a innego dnia ten sam weterynarz przybył, by udzielić pomocy jego staremu, choremu kundlowi. I to jest normalne, a nie żaden nadzwyczajny przypadek. Rozmawiałam z wieloma skandynawskimi rolnikami i wszyscy ze zdumieniem (że poruszam tak oczywiste sprawy) twierdzili, że psy i koty traktowane są równie dobrze, jak zwierzęta gospodarskie, tak samo się je leczy i dba o nie, choć nie dają bezpośrednich korzyści. A stare, niedołężne psiny i kociny, mimo iż nie mogą się wywiązywać ze swoich obowiązków, znajdują u swych właścicieli spokojną przystań aż do śmierci.

Młode kocięta i szczenięta mają zazwyczaj zabezpieczony byt już w chwili przyjścia na świat. Właściciele starają się, by potomstwo ich domowych zwierząt znalazło nowy dom. Nadprogramowe zwierzęta są humanitarnie, tzn. przez lekarza weterynarii likwidowane lub pozostają w domu, w którym przyszły na świat.

Zwierzęta domowe są dobrze pilnowane i nie wypuszcza się ich samopas, by mogły

włóczyć się po ulicach i cudzych podwórzach. Tego typu opieka daje dobre rezultaty: zwierzęta nie rozmnażają się w nadmierny sposób, to raz, a poza tym w Szwecji i Norwegii nie ma problemu wścieklizny, z którą w naszym kraju jeszcze się spotykamy.

Fakt, iż w tych krajach nie widać wędrujących samotnie psów, nie oznacza wcale, że zwierzęta te są trzymane na uwięzi. Wręcz przeciwnie. Nie do pojęcia jest łańcuchowy, pozbawiony wody i dobrego wyżywienia kundel. Psy biegają swobodnie po terenie obejścia lub też przebywają na specjalnych, ogrodzonych wybiegach. W miastach są wyprowadzane na smyczach lub biegają sobie swobodnie. Ale, co ciekawe, w trosce o czystość otoczenia właściciele usuwają odchody swoich podopiecznych, zbierając je w plastykowe torebki i wyrzucając do śmietnika. Nikt z tego powodu nie czuje się głupio. Za to w parkach czy na trawnikach można usiąść bez obawy, że spotka nas niemiła przygoda.

Podobno nieznane są również przypadki znęcania się nad zwierzętami. Dzieci i młodzież odnoszą się do zwierząt bardzo przyjaźnie. Już w przedszkolach dzieci przyzwyczajają się do systematycznego dokarmiania ptaków. W szkołach młodzież przygotowuje karmniki i organizuje wyprawy w teren — do lasu, by przygotować tam „niespodzianki" dla leśnych mieszkańców. O ptaki dba bardzo wielu ludzi i całe rodziny, np. w okresie Bożego Narodzenia, prawie wszyscy kupują specjalne mieszanki dla ptaków i wykładają do karmnika albo wywieszają za oknem. W sklepach kupić można najrozmaitsze rodzaje pożywienia dla skrzydlatych przyjaciół. A co najważniejsze, nie są to jakieś sporadyczne akcje, organizowane od czasu do czasu. ABY POMOC GŁODUJĄCYM ZIMĄ ZWIERZĘTOM MOGŁA BYĆ SKUTECZNA — MUSI BYĆ STAŁA. Nie wystarczy od czasu do czasu wysypać ziarna czy zbudować karmnik, by sądzić, że dzięki naszej działalności przyczyniamy się do ratowania życia zwierząt. Stale widzimy zimą ptaki kręcące się wokół naszych domostw i nie zdajemy sobie sprawy, jak wiele z nich ginie właśnie z głodu i zimna. A jeżeli tego nie widzimy, czy mamy czyste sumienie?

Po przeczytaniu tego artykułu zastanówcie się, czy wasz pies, bez względu na to, czy jest to kanapowy pupil, czy pies podwórzowy, ma wodę w misce i wygodne, ciepłe, czyste legowisko? Czy kot dostał jeść? Czy starasz się pomóc tym bezdomnym, błąkającym się nieszczęśnikom? Czy próbujesz wpłynąć na tych swoich kolegów, których stosunek do zwierząt wydaje Ci się niewłaściwy? Nie czekaj, aż ktoś Ci powie: zrób to czy tamto. Nie czekaj na akcję w szkole, na osiedlu, na kogoś, kto coś zaproponuje. Ty sam bądź tym, który występuje z inicjatywą — co zrobić, by ulżyć ciężkiej doli zwierząt. Tyle przecież możesz zrobić.

Anna Siwkiewicz

ŚLADAMI KOLIBRÓW

Kolibry są chyba najpiękniejszymi, a na pewno najmniejszymi ptakami świata. Występują w Meksyku, Wenezueli, Kolumbii, Ekwadorze, Brazylii i Peru. Najmniejsze gatunki tych ptaków, co trudno sobie wyobrazić, ważą zaledwie od półtora do dwóch gramów. Dla porównania warto nadmienić, że najmniejszy ptak żyjący w Europie — mysikrólik — waży 5 gramów. O urodzie i wdzięku kolibrów pisało wielu zoologów i zbieraczy. Dawno, bo ponad 200 lat temu francuski podróżnik Buffon, zauroczony urodą kolibrów, napisał: *„Spośród wszystkich istot żywych ma koliber najładniejszy kształt i najpiękniejszą barwę. Szlachetnych kamieni i kruszców, którym nasza sztuka nadała kolor i blask, nie można nawet porównać do tych klejnotów przyrody”.*

Zbieracze kolibrów

Zbieraniem kolibrów zajmowało się wielu polskich podróżników. Wyprawy podróżnicze kierowały się przede wszystkim do Peru, gdzie występowały najciekawsze gatunki kolibrów.

Pod koniec XIX wieku zbierał i badał te ptaki w Peru Jan Sztolcman z polecenia kustosza Warszawskiego Gabinetu Zoologicznego — słynnego ornitologa Władysława Taczanowskiego. W tym samym mniej więcej czasie na terenie Gujany Francuskiej łapał kolibry Konstanty Jelski. Oka-

zy zebrane przez naukowców trafiły pod koniec ubiegłego wieku do Gabinetu Zoologicznego, założonego w 1819 roku w Szkole Głównej w Warszawie. Gabinet eksponował zbiory polskich podróżników. W 1919 roku nastąpiło połączenie zbiorów Gabinetu Zoologicznego z prywatnymi zbiorami Muzeum Branickich i powstała w ten sposób placówka, którą można by nazwać Muzeum Zoologicznym. Niedługo jednak istniała. W 1935 roku gmach Muzeum strawił pożar, a ocalałe zbiory zostały przeniesione do budynku Instytutu Zoologicznego PAN na ul. Wilczą. W 1973 roku wywieziono je do Łomny pod Warszawą i umieszczono w prowizorycznie w tym celu zbudowanych halach.

Do chwili obecnej zbiory pięknych kolibrów pozamykane są w szafach w hali wielkiego magazynu i niedostępne dla ciekawych.

W Łomnie

Pojechałam do Łomny, leżącej około 30 km od Warszawy w kierunku Palmir. Okolica piękna, teren Stacji Badawczej PAN ogrodzony. Korzystając z życzliwości kierownika placówki, dra Eugeniusza Kirycha, udało mi się zobaczyć kolibry. W wielkiej hali rzędy szaf, dokoła unoszą się opary chlorku winylu, służącego do konserwacji preparatów. Zza szyb patrzą smutne oczy sokoła i jastrzębia. W jednej z szaf, oznaczonej i zaplombowanej, umieszczono kolibry. Każdy jest opisany i, mimo że są lekko zakurzone, nie straciły swego blasku.

Wielka szkoda, że tylko nieliczni mogą je oglądać, bo na ekspozycję i powstanie prawdziwego Muzeum Zoologicznego w Warszawie przyjdzie nam jeszcze poczekać.

Elżbieta Wrzecionkowska

Fot. Tadeusz Płodowski

Autorka artykułu ogląda kolibry... w szafie

UKOŚNIK

W pionowe kolumny podanej figury wpiszcie wyrazy o podanych znaczeniach. Litery na dwu przekątnych dadzą rozwiązanie — nazwy dwóch drzew.

Znaczenie wyrazów:
1. stolica NRD, 2. materiał na letnią sukienkę, 3. inaczej urok, czar, 4. kuzynka grochu, 5. budynek strażacki, 6. płyn do odkażania ran.

J. S.

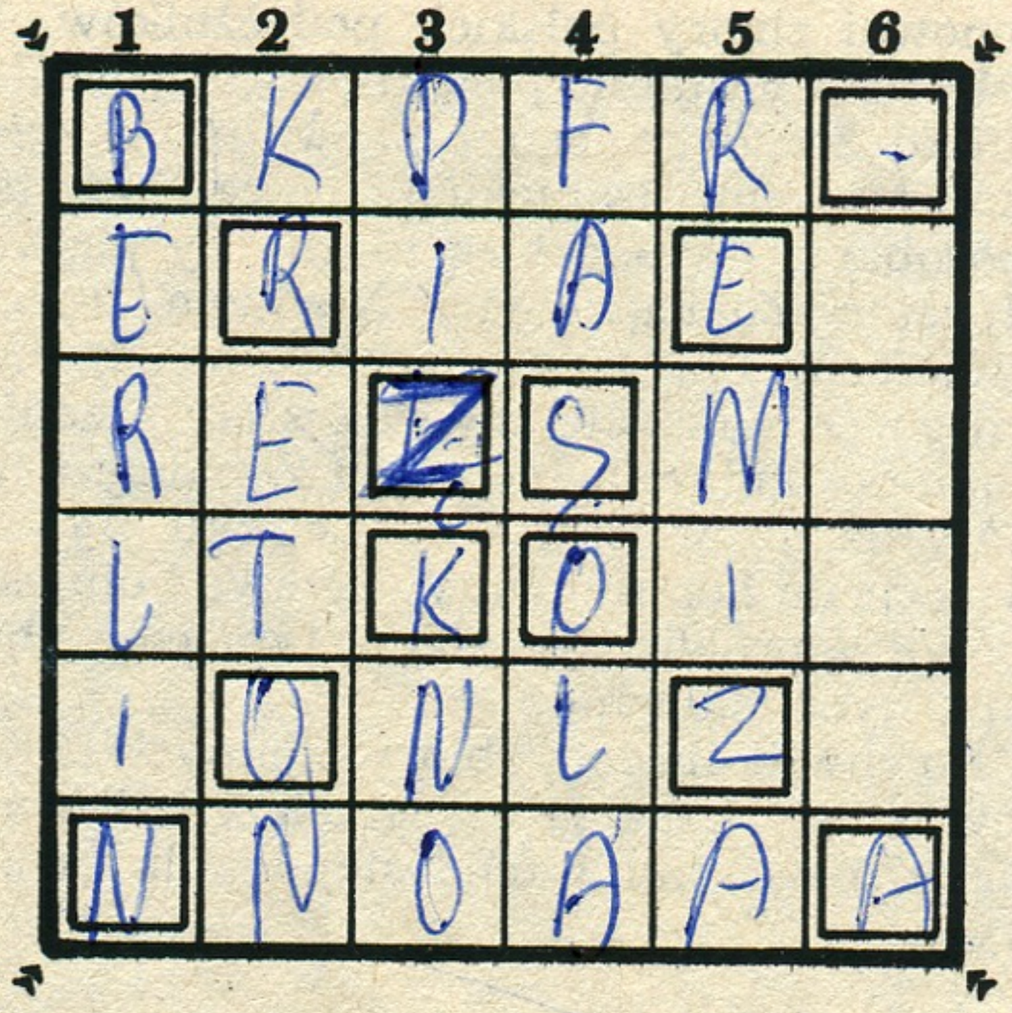

ANAGRAM

Odgadnijcie nazwę tego dziwnego ssaka. W otrzymanej nazwie tak poprzestawiajcie litery, aby powstało co najmniej 8 nowych wyrazów.

J. S.

Zagadka 1

Powiedz, co ma mleko wspólnego z apteką?

Zagadka 2

Jaka ryba — Was się pytam — gdy „o" zgubi, ma kopyta?

okoń

Józef Staneta

ROZWIĄZANIA Z NRÓW 17, 18, 21, 22 i 23

Krzyżówka sylabowa. Poziomo: 3. stoper, 5. bażant, 6. łasica, 8. marabut, 10. koźlarz, 11. lama. Pionowo: 1. miasto, 2. sierżant, 4. perła, 5. baca, 8. malarz, 9. butla, 10. Koźle, 12. mamut. Jakie to ptaki? 1. jemiołuszka, 2. kuropatwa, 3. sikorka, 4. zimorodek; Krzyżówka. Poziomo: 3. sokół, 5. napój, 6. półka, 7. derka. Pionowo: 1. topór, 2. sójka, 3. saper, 4. kółko; Zagadka geograficzna: Płynie Wisła od gór do morza. 1. Kraków, 2. Sandomierz, 3. Kazimierz, 4. Puławy, 5. Warszawa, 6. Włocławek, 7. Toruń, 8. Malbork, 9. Gdańsk; Ukryte owady: 1. bąk, 2. giez, 3. mucha, 4. ważka, 5. osa, 6. ćma, 7. komar, 8. trzmiel. Mleko to zdrowie; Uzupełnianka: 1. okienko, 2. poligon, 3. kłopoty, 4. dzwonek, 5. stodoła, 6. pomidor, 7. oślątko. Kwadrat liczbowy: Poziomo: 12-15-0-3, 11-1-14-4, 2-8-7-13, 5-6-9-10; Po skosie: 12-1-7-10, 5-8-14-3; Dopełnianka: korona, borowik, aromat, warownia; Krzyżówka: Poziomo: 5. kaczeniec, 6. przecinek, Pionowo: 1. Tatry, 2. dzień, 3. Chiny, 4. seler.

NASZ ZWIERZYNIEC

DZIK

Dziadek mój prowadził gospodarstwo na kolonii, pod lasem. Często spotykał na polu dzika, szczególnie jesienią, kiedy kopcował ziemniaki za stodołą. Gdy dziadek wieczorem usypał starannie kopiec, dzik w nocy wszystko rozgrzebał, mimo że ziemniaki były przykryte słomą. Psoty te powtarzało zwierzę wielokrotnie. W końcu dziadek postanowił zostawiać dzikowi porcję ziemniaków w koszyku. Od tego czasu był spokój. Sąsiedzi opowiadali, że zwierzę do tego stopnia zaprzyjaźniło się z gospodarzem, iż towarzyszyło mu w obrządzaniu dobytku, na przykład przy karmieniu świń, kur lub gęsi. O, dziwo, pies Burek nie awanturował się z tego powodu.

Wielkie było zwierzę z tego dzika! Miało szorstką, gęstą szczecinę, ryj spiczasty jak klin. Kły jak haki rosły mu na boki, żeby nie przeszkadzać w jedzeniu. Dziadek mówił, że tego dzika nie imały się kule kłusowników; ześlizgiwały się po szczecinie jak po stali.

Straty wyrządzone rolnikom przez dziki są duże. Duże też są odszkodowania. Jednak nie wszyscy wiedzą, że z dzików jest też pożytek. Zjadają one ogromne ilości larw szkodników żyjących w ściółce leśnej. Gdyby nie dziki, niejeden las czy puszcza już by nie istniały.

Spotkałem kiedyś oswojoną dziką świnię, zwaną Lusią, w rezerwacie w Białowieży. Tę dziczkę oddała tam pewna pani, staruszka, która ją wychowała, gdy małemu warchlakowi zastrzelono matkę. Pewnego razu odwiedziła Lusię jej dawna pani. Żebyście widzieli to spotkanie! Wszyscy byli wzruszeni do łez.

— Zobacz, Lusiu, co ci przyniosłam, twoje smakołyki! — zawołała pani, stawiając spory koszyk na ziemi. Musiała jednak usiąść na ściętym pniu drzewa, bo Lusia koniecznie chciała jej coś powiedzieć. No, i zaczęła się dziwna rozmowa. Zdawało się wszystkim, że Lusia tylko obwąchuje twarz staruszce, a jednak towarzyszące temu chrząkanie coś wyrażało, bo pani przytakiwała głową i też coś dziczce szeptała do ucha i ukradkiem ocierała chusteczką łzy. — Zobacz! — szepnęła pani — mam twoje ulubione żołędzie, ziemniaczki, ciastka...

Odszedłem czym prędzej. Nie chciałem być świadkiem sceny pożegnania.

Franciszek Kobryńczuk

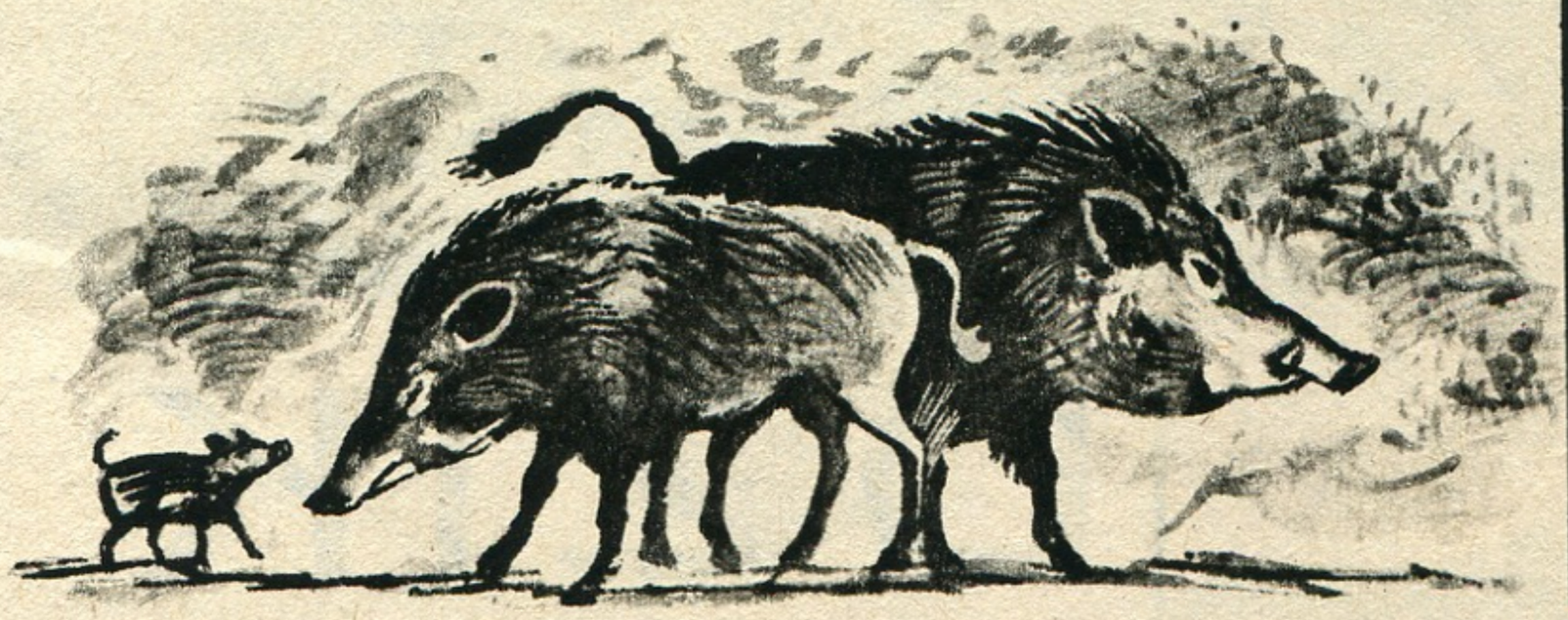

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:

ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
Tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY:

kwartalnie — 120 zł,
półrocznie — 240 zł,
rocznie — 480 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:

Elżbieta Brzoza, Zdzisław Byczek (redaktor graficzny), Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Maria Czernik, Alicja Olszewska (sekretarz redakcji), Stefan Rutkowski (fotoreporter), Teresa Wilk-Białożej

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;

— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:

— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny;

— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty w 1985 r.

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Kraków, ul. Wadowicka 8. Papier rotac. 70 g, rola 75 cm, kl. V, i rotogr. 125 g, 86 × 122 cm, kl. V.

Zam. 1741/85 L-8

Nakład 430 370 egz.

INDEKS 36875

NASZ ZWIERZYNIEC

Tekst na str. 31

DZIK

Fot. Bonifacy Gałka

CENA 20 ZŁ